№ 33. Warszawa, dnia 14 (2) Sierpnia 1886 r. Rok VI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2 k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ. *Polityka*: Znamienne objawy. — Nowe prawa I. p. J. P.— Tydzień polityczny. — *Powieść*: Przeciągnięta struna p. Jana Rutkowskiego. — *Życie społeczne*: Pod skrzydłami swobody p. Władysława Kozłowskiego. — *Badania naukowe:* Psychologiczne podstawy religii I. p. J. K. Potockiego.—Wynalazki p. N.— *Literatura i sztuka*: Jan Lam I. — Literatura polska: M. Stankiewicz. Wiadomość o biblii litewskiej p. Jana Karłowicza.— *Fejleton*: Liberum veto p. Posła Prawdy. — Na widnokręgu p. Nieborskiego. — Cudze głosy. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

ZNAMIENNE OBJAWY.

W Niemczech rozegrał się dawny proces, który na chwilę przesłonił tajemnicze pytajniki, obradujące u wód nad najpowniejszym sposobem obdzierania przyjaciół ze skóry—mianowicie proces socyalistów. Właściwie ciągnął się on od lat pięciu i zamyka w sobie cały jeden rozdział walki rządu z potężnym a niebezpiecznym dla niego ruchem. Po wydaniu prawa wyjątkowego socyaliści zwołali i odbyli pierwszy swój kongres (1880 r.) na zamku Wyden w Szwajcaryi, zdoławszy uprzednio omylić czujność policyi, która też nie posłała tam nawet swoich zamaskowanych agentów. Ponieważ jednak później sami uczestnicy zjazdu ogłosili jego uchwały, wkrótce więc wiadomem się stało, kto na nim był i co postanowiono. Skutkiem tego prokurator w Elberfeldzie pociągnął do odpowiedzialności sądowej kilku tamtejszych członków kongresu o „przeciwprawny związek." Śledztwo wszakże nie doprowadziło do żadnego rezultatu, a sprawa została umorzoną.

Drugą naradę socyalno-demokraci odprawili (1883) w Kopenhadze, i tym razem obałamuciwszy policyę, która zaaresztowała w Kielu głównych agitatorów a zarazem posłów parlamentarnych, powracających z Danii. Sejm wszakże uznał czyn ten za samowolę i polecił uwięzionych oswobodzić. Ale znowu prokurator w Kielu wytoczył im proces, i znowu sąd nakazał przerwać dochodzenie. Po zawodzie w Prusach spróbowano szczęścia w Saksonii. Prokurator lipski wniósł akt oskarżenia przeciwko Beblowi, biorącemu również udział w zebraniu kopenhagskiem, o „zdradę stanu i obrazę majestatu." Sąd wszakże nie uznał przestępstw. Wtedy przeniesiono grę do Chemnic (skąd pochodził drugi z oskarżonych Vollmar), ale i tu proces zakończył się wyrokiem uniewinniającym, a nawet dotkliwą kompromitacyą prokuratora, który zarzutów nie udowodnił. Zdawało się, że już nigdzie rząd na tej karcie nowych usiłowań nie postawi, ale tak zdawać się mogło tylko tym, którzy nie znają wytrwałości ks. Bismarka. Od wyroku chemnickiego odwołano się do sądu państwa, który polecił ponownie rozstrzygnąć sprawę sądowi we Freibergu. Trudy uwieńczył wreszcie skutek pomyślny: przed kilkunastu dniami wszyscy uczestnicy kongresu kopenhagskiego i przeważnie członkowie parlamentu skazani zostali na ciężką karę od 6—9 miesięcy więzienia.

Chociaż pomiędzy nimi znajdują się ludzie i pisarze głośni (Bebel, Vollmar, Vierek i in.), cała ta walka miałaby tylko miejscowe znaczenie, gdyby nie odsłaniała zjawisk ogólniejszej natury. Mianowicie przekonała ona, że rząd niemiecki samą, nawet najbardziej wzmocnioną siłą ustaw wyjątkowych nie pokona socyalizmu i że nie tu, to owdzie sądy posłuszne swej woli znajdzie. Oba fakty posiadają wielką doniosłość. Pierwszy z nich wykazuje dowodnie słuszność dawno teoretycznie uznanej zasady, że przekonań, choćby najbłędniejszych, nie stłumią zakazy, tylko swobodna wymiana zdań. Bismark obwarował się szeregiem wałów i armat administracyjnych, a tymczasem socyaliści coraz bardziej zdobywają jego twierdzę. Urzędownie i nieurzędownie stwierdzono niewątpliwy fakt, że od czasu zawieszenia nad socyalizmem miecza Damóklesa i — co za tem idzie — nimbów męczeństwa, szerzy on się z nadzwyczajną szybkością, urągając wszelkim tamom. Ironicznie cieszył się kanclerz „z drugiego tuzina" socyalistów w sejmie rzeszy, kto wie, czy po nowych łowach tego rodzaju ryb nie będzie musiał cieszyć się w przyszłym parlamencie z trzeciej dwunastki.

Znamiennym jest wyrok sądu frejberskiego z drugiej strony. Najznakomitsi prawnicy niemal jednogłośnie orzekli, że według ustaw niemieckich, nietylko poręczających swobodę przekonań, ale — co ważniejsza—dopuszczających jawne istnienie osobnej, parlamentarnie uprawnionej partyi socyalno-demokratycznej, która posiada swoje biuro w Berlinie, odbywa posiedzenia, głosuje w sejmie, niedorzecznością jest mówić o „tajemnym jej związku" a niesprawiedliwością karać jego członków kozą. Bo przecież to, co jest jawnem, nie może być tajemnem, a co prawnem—przeciwnem prawu. Tak z początku rozumowały sądy; ale nacisk z góry wyprowadził je z równowagi i zaprzągł do rydwanu bożyszcza, gniotącego wszystkich, prócz swoich czcicieli. Dziś niemiecka Temida skrzywdziła socyalno-demokratów — a jutro? Po co czekać jutra! Wiadomo, jak postępuje z polakami, jak gniecie żywioły liberalne. Pod szerokim płaszczem „nieprzyjaciół państwa" zmieszczą się niedługo wszyscy, co nie przysięgają na ewangelię Bismarka: policya ich prześladuje, sąd karze — za religię, narodowość, przekonania polityczne i społeczne, za to, czego człowiek nie wdziewa i nie zdejmuje wraz z odzieżą i co stanowi rdzeń jego istoty. Nawet ci, których — jak nas — dzieli znaczna odległość od socyalistycznego Koranu, którzy nie pieszczą ideałów Bebla, muszą w wyroku freibergskim widzieć groźny i zaraźliwy znak prądu podsycanego przez Niemcy, tem groźniejszy, że on nie ogranicza się do jednej warstwy, do jednego pierwiastku polityczno - społecznego, lecz tępi i niszczy wszelkie po za swem łożyskiem. Razem z socyalistami zagląda ogarnia postępowców, katolików, polaków,

francuzów, duńczyków — jak pożoga, zostawiająca tylko okucia i wiązania żelazne. Gdzie brzeg tego strasznego okresu? Na to pytanie brzmi ciągle jedna odpowiedź: ks. Bismark jest zdrów...

Na obchodzie pięćsetnej rocznicy istnienia uniwersytetu heidelberskiego niemiecki następca podniósł wysoko sztandar swobodnej nauki i rzetelnej moralności. Pięknie szumiały zwoje tego sztandaru, ale jakże on jaskrawo odbijał od rzeczywistości, która swobodnie myśleć nie pozwala a dla dogodzenia samolubnym celom naukę i moralność gwałci! Ani jedno z godeł, które przyszły cesarz Niemiec tak uroczyście sławił, nie wciela się w państwie ks. Bismarka, wszystkie natomiast sponiewierane i zdeptane. Może ze zmianą ręki, trzymającej berło, zapanuje tam szlachetniejsza idea, dziś błyszczy tylko czysty szyszak i ostry bagnet.

NOWE PRAWA.

I.

W ostatnich tygodniach ogłoszone zostały trzy nowe ustawy, których doniosłość pod względem społecznym nie może ulegać zaprzeczeniu, mianowicie: prawo urządzeniu czynszowników, ustawa o robotnikach wiejskich i przepisy o wzajemnych stosunkach między pracodawcami i robotnikami fabrycznymi. Pierwsze z tych praw, datowane 21 czerwca 1886 r., chociaż ogłoszone w ostatnim dniu lipca, nosi właściwie tytuł: „Ustawa o urządzeniu stosunków posiadania ziemi przez wiejskich czynszowników wieczystych w guberniach zachodnich i białoruskich.“

O społecznem i moralnem znaczeniu sprawy czynszowników wypowiadaliśmy kilkakrotnie swoje zdanie, którego dziś już szczegółową argumentacyą popierać nie potrzebujemy, ponieważ świeżo wydane prawo rozcina węzeł przykrych stosunków i czyni to w sposób, który uważać można prawidłowy i pożądany. Jeżeli ustawa nie odpowiada wszystkim wymaganiom czynszowników i obrońców ich sprawy, to jednakże przyznać trzeba, że daje ona wiele i że na działalności prawodawczą Rady państwa nie wpłynęły zbyt ujemnie prądy przeciwne. Cała kampania przedsięwzięta na wielką skalę, z zamówionemi umyślnie dziełami niby-to naukowemi, z tajemniczymi memoryałami, zfałszowaną historyą i wykrzywianem prawem — skończyła się porażką, do której przywódcy pomimo obfitego zasobu wykrętnej sofistyki zmuszeni są przyznać się ostatecznie. Zaznaczywszy tę okoliczność, pominąć możemy obecnie historyczny wywód i znaczenie społeczne sprawy czynszowniczej; jedynie dla zrozumienia charakteru nowego prawa poprzedzimy streszczenie jego krótką informacyą faktyczną.

Zasada czynszu wieczystego, wyrażająca się w najrozmaitszych objawach, powszechnie stosowaną była w ziemiach dawnej Polski, zwłaszcza zaś w W. Ks. Litewskiem. Grunta, nabyte na mocy czynszu wieczystego, przechodziły z rąk do rąk nietylko drogą spadku, ale i drogą sprzedaży. Nominalny właściciel ziemi nie mógł usunąć czynszownika; już za Zygmunta Starego było to dawnym zwyczajem, który król ten w skutek skarg pokrzywdzonych zmienił w prawo pisane. Właściciele oddanych na czynsz gruntów kilkakrotnie starali się zmienić je na swoją korzyść; były to jednak zachcianki pojedyncze lub nadużycia osobiste, warunki ekonomiczne powodowały, że ziemia szukała rąk chętnych do pracy—nie zaś ręce ziemi i istniejący stan rzeczy dogodnym był dla stron obu. Dla tego też czynszownictwo przetrwało bez zmiany aż do 1840 r., w którym uchylono w 9 t. z. guberniach zachodnich moc obowiązującą Statutu litewskiego i konstytucyj sejmowych. Wytworzyło się wtedy dziwne położenie, stosunki czynszownicze znalazły się po za obrębem prawa, gdyż rosyjskie prawo cywilne nie zna wcale czynszu wieczystego, przyjmuje ono tylko własność nieograniczoną i dzierżawę czasową. Taki stan rzeczy nie dawał się uczuć czynszownikom, dopóki trwały zaznaczone wyżej warunki ekonomiczne, dopiero z radykalną zmianą ich w ostatniem dwudziestoleciu, stosunki zaczęły się wikłać i zaostrzać, a wreszcie w ostatnich latach doszły do takiej smutnej ostateczności, jak wypędzanie tłumne setek biedaków, burzenie domów w zimie, sprzedawanie resztek mienia na pokrycie kosztów sądowych itp. haniebne i okropne sceny, które ujawniły się w licznych procesach, wytaczanych zwykle czynszownikom za opór przeciw rozporządzeniom sądu lub władzy.

Nowo-wydane prawo dotyczy czynszowników wieczystych, poddanych rosyjskich, wszelkich stanów i wyznań, posiadających ziemię po za obrębem miast i miasteczek „w dziedzicznem, nieterminowem użytkowaniu, z obowiązkiem odbywania na rzecz właściciela określonych powinności w naturze lub pieniądzach, jeżeli powinności te nie podlegają zmianom, zależnym od woli właściciela.“ Określenie to wywoła zapewne wiele nieporozumień, bo jakkolwiek istotnem znamieniem czynszu wieczystego jest stale oznaczona jego norma, to wszakże w ostatnich latach zagrożeni wydaleniem czynszownicy zgadzali się często dobrowolnie podnieść wysokość opłaty, co nie powinno ich przecie pozbawiać możności korzystania z skutków nowej ustawy.

Dzieli ona liczną i rozmaitą w składzie swoim ludność czynszowniczą na trzy kategorye. Do pierwszej należą ci wszyscy, których grunta znajdowały się w posiadaniu czynszowem przed 1840 r. (w guberniach witebskiej i mohylewskiej przed 1831 r.). Istnienie stosunku czynszowego winno być poparte aktem piśmiennym, chociażby nieformalnym. Skoro zaś podobnego aktu niema, posiadanie czynszowe udowodnionem być może ubocznie innymi dokumentami, zeznaniami świadków i badaniem sąsiadów, które powinny wyjaśnić, że badany grunt stale i bezterminowo znajdował się w posiadaniu osób, nie mających nic wspólnego z właścicielem tytularnym, że przechodził od jednego czynszownika do drugiego drogą spadku lub sprzedaży, że wreszcie opłaty lub powinności były stale określone i pozostawały bez zmiany lub też zmieniały się według brzmienia umowy pierwotnej.

Drugą kategoryę stanowią czynszownicy, którzy nabyli posiadane obecnie grunta po 2 września 1840 r. lub po 21 stycznia 1831 r., ale najmniej na lat dziesięć przed datą wydania niniejszej ustawy. Posiadanie wieczysto-czynszowe musi tu być udowodnione dokumentami piśmiennymi, w razie zaś niejasności ich lub braku, przyznanie posiadania nastąpi wtedy tylko, jeżeli dany grunt znajduje się w obrębie ziemi czynszowego lub leży między gruntami, należącymi do uznanych czynszowników wieczystych.

Ci wreszcie rolnicy, którzy objęli w posiadanie grunta prywatne i skarbowe

---

3)

POWIEŚĆ.

PRZECIĄGNIĘTA STRUNA.

Matce krew spłynęła do głowy.

— Wybacz pani, że ranę, którą ci zadałem, jątrzę i rozdrażniam, chcę jednak, abyś dokładnie zrozumiała położenie. Udałem się do pani po gruntownej rozwadze, po wyczerpaniu z mej strony wszystkich środków, aby powstrzymać przyjaciela na śliskiej drodze. Rozumowałem tak: znam idealny stosunek Jerzego do matki; wiem, że interwencya doraźna istoty kochanej i kochającej może mieć wpływ stanowczy i dodatni na rozwój tej nieszczęsnej namiętności; z ust Jerzego słyszałem do czego pani zdolną jesteś, kiedy chodzi o syna... a zatem...

— Rozumiem pana. Dziękuję z całej duszy za oświecenie mnie w tej sprawie. Spełniłeś swój obowiązek, jako przyjaciel; do mnie należy reszta. Jestem przekonana, że złemu zapobiedz potrafię; dziś jeszcze rozmówię się z Jerzym, a wtedy...

January potrząsnął głową z niedowierzaniem.

— A wtedy przekonasz się pani, żeś działała bez skutku. Jerzy jest naturą wrażliwą, a słabą. Byłem świadkiem jego walki z samym sobą. Kobieta ta wywiera nań wpływ nieprzeparty i nadzwyczajny. Pod chwilowym wpływem matki popędy szlachetne zwyciężą... na dni parę. A potem w tajemnicy przed tobą, pani, zacznie marzyć o nieporównanej piękności i — wróci do niej; wówczas i wpływ matki nie uspakajać, lecz ciężyć mu będzie. Widząc nakoniec, że, wracając do błota, z którego wyprowadzić go pragnęłaś, traci szacunek istoty dotąd ukochanej, straci jedyny hamulec na drodze do upadku, i — przebacz pani, że mówię otwarcie — dusza skalana odda się na pastwę pożerającej ją namiętności, bez nadziei i ratunku...

— A więc mam milczeć? Mam być wspólniczką mego dziecka na drodze do niesławy? Cóż zrobić mogę w tym razie? Powodowany przyjaźnią dla mego syna wzywasz pan mej pomocy, a potem każesz mi patrzeć spokojnie na to, co mnie zabija! A więc pójdę do niej, do tej... kobiety, którą nienawidzę i przeklinam; stanę przed nimi, wtedy niech on wybiera pomiędzy mną a zalotnicą; niech spojrzy na te siwe włosy, na me ręce drżące ze starości z pracy dla niego!.. A kiedy wyciągnę doń ramiona i powiem „mój synu!“ — wiem, że nie zawaha się ani na chwilę; że odezwie się w nim serce dziecka, a głos obowiązku będzie silniejszym nad szał!..

Wyczerpana, padła na fotel, zakrywając dłonią oczy; po zoranem zmarszczkami licu potoczyła się łza bólu i rozczarowania.

— Tak — rzekł January, a nuta współczucia drgała w jego głosie — jest to jedyny, a radykalny sposób ratunku. Za godzinę powóz mój czekać na panią będzie. Przekupiłem służącego, który wprowadzi panią do mieszkania tej kobiety. Instynkt matki wskaże ci sposób dalszego postępowania, a jestem przekonany, że obecność twa podziała skuteczniej, niż wielokrotne napomnienia.

III.

Różowa lampa rzucała przyćmione światło na bogato umeblowany buduar. W powietrzu unosił się zapach kwitnącej pomarańczy, heliotropu i konwalii, tworząc atmosferę duszną i upajającą, usypiającą a niezdrową, właściwą siedzibom zniewieściałości i zbytku. W półcieniu kontury sprzętów zlewały, linie łączyły się w całość nieokreśloną; różowe blaski przekradały się tajemniczo przez gęstwinę liści i krze-

w ciągu ostatnich lat 10, nie mogą wcale dowodzić swych praw wieczysto-czynszowych.

Ustawa dotyczy przedewszystkiem gruntów, znajdujących się w rzeczywistem posiadaniu i rozporządzeniu czynszowników. Lecz nie są pozbawieni prawa korzystania z niej i ci, którzy zostali usunięci dawniej przez właścicieli, jeżeli zanieśli skargę w terminie odpowiednim. Prawa ich nie znosi nawet wyrok sądu, odrzucający pretensye, jeżeli wyrok ten niema jeszcze mocy prawnej. Wszyscy, wydaleni w ciągu ostatnich sześciu miesięcy przed wydaniem ustawy, nie podlegają żadnym ograniczeniom i mogą dowodzić istnienia posiadania wieczysto-czynszowego odebranych im gruntów.

Dowody piśmienne ustawa wymienia rozmaite. Do bezpośrednich należą: umowy, przywileje, nadania, kontrakty itp. dokumenty, wydawane czynszownikom przez właścicieli. Prócz tego przyjmowane będą jako dowody pośrednie: wyroki sądowe, akty do spraw, umowy o przelew praw, testamenty, kwitaryusze i kwity, wydawane przez właścicieli lub ich pełnomocników, świadczące o istnieniu opłaty lub powinności czynszowej, inwentarze ekonomiczne, księgi i regestry gospodarskie, opisy i plany dóbr, spisy rewizyjne (księgi ludności), wreszcie metryki. Zeznania ustne przyjmowane będą w razie niejasności lub braku dokumentów pisanych, bądź to dla wykazania znamiennych właściwości posiadania wieczysto-czynszowego, bądź też dla określenia osoby, której grunt ma być przyznany.

W ciągu lat trzech po wydaniu ustawy, tj. do 31 lipca 1889 r., właściciele gruntów i czynszownicy zawierać mogą dobrowolne umowy o wynagrodzeniu czynszownika za zrzeczenie się prawa lub też o nabycie gruntu czynszowego. W razie dojścia do skutku umowy o wykup gruntu, rząd przychodzi w pomoc czynszownikowi, tj. udziela mu zaliczkę, która wszakże nie może przekraczać normy określonej dla wykupu przymusowego. Ten ostatni nastąpi po trzech latach w tych wypadkach, w których umowy dobrowolne nie dojdą do skutku. Wysokość sumy wykupu oznacza się przez skapitalizowanie w stosunku 6% wszelkich ciężarów czynszowych, mianowicie opłaty stałej i peryodycznej, powinności w naturze, laudemium itp. Sumę wykupną płaci właścicielowi rząd w 5% papierach państwowych, nie może ona jednak w żadnym razie przewyższać pewnej skali, oznaczonej w ustawie dla każdej gubernii. Za grunty pod siedzibą czynszownika płaci rząd 150 rs. za dziesięcinę (blizko 2 morgi). Za pola i łąki wykup jest nadzwyczaj rozmaity, od 5 rs. w niektórych powiatach gubernii mińskiej, do 82½ rs., w gub. kijowskiej lub podolskiej. Różnice są dosyć znaczne i w pojedynczych guberniach: np. w Kijowskiej od 10 do 82½, mińskiej od 5 do 32, wileńskiej 15 do 39 rubli. Dla gubernij witebskiej i mohylewskiej wydana będzie oddzielna tabela.

Do przeprowadzenia czynności wykupowej ustanowione będą specyalne urzędy powiatowe i gubernialne, w których oprócz przedstawicieli władzy zasiądą i obywatele. Przy ocenie wartości pieniężnej powinności naturalnej urzędy te wzywać będą po dwu obywateli ziemskich i czynszowników. Wszystkie czynności, w zakresie umów dobrowolnych i wykupu, wolne są od opłaty stempla.

Czynszownicy wieczyści obowiązani są spłacić zasiłek rządowy w ciągu 49 lat, wnosząc corocznie po 6% od sumy wykupnej, jako procent i amortyzacyę, mogą jednak, jeżeli zechcą, spłacić należność wcześniej. W razie nieregularności w opłacie rat czynszownik podlega takim samym środkom przymusowym, jakie stosowane są do włościan, wykupionych przy pomocy rządu. Ważnym jest jeden paragraf ustawy, który orzeka, że w wypadku publicznej sprzedaży gruntu nabywcami jego mogą być i tacy czynszownicy, którym wskutek praw wyjątkowych nie wolno nabywać ziemi w guberniach zachodnich (żydzi oraz szlachta i mieszczanie pochodzenia polskiego).

Jeżeli kto z dotychczasowych czynszowników nie potrafi udowodnić praw swoich do posiadania wieczysto-czynszowego gruntów, może w ciągu lat 5 od daty odmownej decyzyi władzy trzymać grunta te na dawnych warunkach. Po upływie zaś terminu winien albo nabyć ziemię na własność, albo wziąść ją w dzierżawę, lub też na żądanie właściciela grunt opuścić.

Donioslym punktem ustawy jest postanowienie, że wszelkie toczące się obecnie sprawy sądowe, które wynikają ze stosunków wieczysto-czynszowych, z wyjątkiem spraw z powództwa czynszowników o odzyskanie posiadanego niegdyś gruntu — ustają jednocześnie z ogłoszeniem nowego prawa.

W ten sposób stosunki wielce naprężone i pogmatwane wracają chociaż w części do biegu prawidłowego. Władza prawodawcza czekała długo na dobrowolne załatwienie sprawy i wmieszanie się jej wywołane zostało koniecznością położenia kresu zatargom, które obie strony interesowane popychały do bezprawnych nadużyć. Bo i krzywdzeni czynszownicy stawili wszyskowi opór, wychodzący nieraz z granic legalnych. Właścicielom ziemskim ustawa daje to tylko, co zawsze polubownie uzyskać mogli, gdyby istotnie chcieli przykrą waśń zakończyć. Chęć zysku, popierana argumentami samolubnej polityki szlacheckiej, nie pozwoliła na takie rozwiązanie sporu, potrzeba było dopiero wmieszania się władzy dla zaprowadzenia chociaż jakiego takiego ładu i porządku w tym zamotanym kłębku bezprawi i nadużyć. Czy i tutaj kłamany patryotyzm świadczyć się będzie własnem „słowem honoru," że odjętą nam została możność wyprostowania pokrzywionych stosunków społecznych? Zapewne, odwagi mu na to wystarczy, chyba jednak w danym wypadku nikt słowom jego nie wierzy, chociaż wierzył kiedyś naiwnie zapewnieniom o dobrych chęciach w sprawie pokrewnej, bo tu już nawet pozorów niema, któreby fałsz świadomy — zbiegiem niezależnych okoliczności stwierdziły.

J. P.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Dzienniki przepełnione są teraz wiadomościami o zjeździe w Gasteinie, dotyczącemi, rozumie się, zewnętrznej strony tego spotkania i mniej lub więcej prawdopodobnemi przypuszczeniami co do treści narad. Nie będziemy powtarzać tych domysłów, które codziennie ulegają zmianom; główny cel zjazdu nie jest tajemnicą, znaczenie zaś jego polega na wzmocnieniu przymierza austro-niemieckiego. Zaznaczymy tu tylko, że p. Giers wyjechał za granicę i jakkolwiek Gasteinu nie odwiedzi, spotka się jednak podobno z ks. Bismarkiem.

Komisarze tureccy, wyznaczeni do rewizyi ustawy rumelijskiej, przybyli już do Sofii i przedstawili wnioski Porty, które właściwie znoszą unię dwóch krajów. Ka-

---

wów egzotycznych, gdzie w ukryciu, jak w czarodziejskim namiocie nimfy, spał Amor skrzydlaty na rzeźbionej muszli, podtrzymywanej komicznemi głowami delfinów. Śpij spokojnie, bożku rozkoszy! Żaden szmer obcy nie obudzi cię w tem miejscu, puszyste dywany stłumią echa kroków natręta; grube zasłony u drzwi i okien nie dopuszczą gwaru i zgiełku ulicy do tego schronienia cichego szeptu i westchnień namiętnych. Maleńka rękawiczka, dalej wachlarz z piór strusich, bukiet, przewiązany szkarłatną wstążką, leżały na podłodze, porzucone ręką kapryśną i leniwą. Na miękkiej otomanie leżała Marya, opierając głowę na ramieniu klęczącego obok niej mężczyzny, którego dłoń ściskała konwulsyjnie atłasową rączkę, zwieszającą się niedbale, a usta, przytulone do bogatych włosów, spływających aż do ziemi, pieściły się niemi, spragnione dotknięcia z jedwabistą falą kruczych kędziorów.

— Mówisz, że mnie kochasz — rzekła Marya — nie wierzę... wszyscy jesteście jednacy. Szalejecie, kochacie niby, a potem, wyssawszy owoc, rzucacie łupinę... w błoto. Miłość? O, ja nie tak rozumiem miłość! Czyż który z was zechce dla mnie poświęcić cokolwiek? Słowa i słowa... a ja już ich tyle słyszałam. Zresztą.. jestem zła kapryśną, nienasyconą... mówiłam to nieraz, i nie wierzę, nie wierzę... Chcę dowodów!

— I jakichże żądasz odemnie — szeptał Jerzy — czyż nie masz ich na każdym kroku? Nie czujesz, że drżę cały, gdy zbliżam się do ciebie i odczuwam dotknięcie twej dłoni? Od chwili, kiedym cię ujrzał po raz pierwszy, nie myślę, nie marzę, tylko o tobie; żyję w tobie i dla ciebie. Czy żądasz czego odemnie? Chciej... rozkazuj!

— Dobrze... bawmy się w rozkazy. Chcę mieć pałac...

— Tylko tyle? Ależ każę zwalić pół miasta, aby zasadzić park wspaniały, a w nim wybuduję gniazdko dla ciebie. Sprowadzę do budowy cedry z Libanu, marmur z Karary, meble z Paryża, dywany z Damaszku, lustra z Wenecyi. Przywiodę z gór strumienie, aby ci szemrały, gdy marzyć zaczniesz — z lasów słowiki, aby cię usypiały w cichą noc letnią...

— A konie, powozy?

— Kupię ci karetę koronacyjną jednego z monarchów. Pojadę na wschód i sprowadzę ci sześć rumaków, potomków w prostej linii od klaczy Mahometa; będą ognistę, jak iskra, a łagodne, jak baranki; będą cię kochały jak wszystko, co cię otacza. A gdy zapragniesz wsiąść na jednego z nich — przyklęknie i poniesie drogi cię-żar z szybkością wichru a lekkością łani...

— Tak, to będzie niezłe; tylko, że są to rzeczy drobne, zwyczajne. Gdybym zapragnęła czegoś poważniejszego... naprzykład... nie uląkłbyś się śmierci dla mnie?

— Czy zrobiłaby ci ona przyjemność?

— Przypuśćmy...

— Jeżeli zechcesz, przyjmę truciznę straszną i niezawodną, od której się kona spokojnie i bez cierpień. Konałbym długo, patrząc w twe oczy. Albo nie... otrułbym się środkiem gwałtownym, abyś poznała, co jest cierpienie; w konwulsyach wić się będę u twych stóp, jak niewolnik; w ostatniej chwili powtórzę ci, że cię kocham, że jestem szczęśliwy, bo umieram przy tobie; a kiedy umrę, zamkniesz mi oczy...

— Nie... to straszne, niechcę tego... bałabym się ciebie. Jesteś nieznośny, zgadzasz się na wszystko... No, a gdybym zażądała twego... honoru?

— Honoru?

— Tak! W tych dniach pojedziemy razem; przystaniemy na ulicy; ja patrzeć będę. Wysiądziesz, rozbijesz szybę na wystawie jubilera, porwiesz bransoletę i kolię. Wybiegną za tobą, złapią na gorącym uczynku. A ty, prowadzony jak złoczyńca pod strażą koło mego powozu, zatrzymasz się na chwilę i, patrząc mi w oczy, po-

rawców oświadczył już, że rząd bułgarski dokonanych dotychczas zmian nie cofnie i gdyby delegaci tureccy nie ustąpili, zwoła znowu przedstawicieli narodu, którzy postanowią co dalej czynić. Ale żądania tureckie, jak się okazuje, stawione są tylko pozornie. Z jednej strony Porta uległa naciskowi tych mocarstw, które przeciwne są zjednoczeniu bułgarów, z drugiej pragnęłaby pazyskać dla siebie jaknajwięcej ustępstw w sprawach finansowych. Stawia więc żądania wygórowane, aby łatwiej było targować się — zwykły to sposób dyplomacyi wschodniej.

Poprzednio już pisaliśmy o zaburzeniach ludowych w Belfascie, w Irlandyi. Obecnie rozruchy te ponowiły się i trwają już od dni kilku; dla uśmierzenia ich siły miejscowe okazały się niewystarczającemi, sprowadzono więc wojsko z Dublina. Z obu stron jest wielu rannych i zabitych. To częściowe powstanie jest przestrogą dla rządu torysów, w razie zastosowania praw wyjątkowych objąć ono może całą Irlandyę. Parnell, wierny swojej taktyce, milczy w tej sprawie, chociaż dzienniki zachowawcze wzywają go do wygłoszenia swego zdania.

Powstanie zbrojne wybuchło również w północnej Szkocyi, na wyspie Tiree, liczącej zaledwie 3,000 mieszkańców. Nosi tam ono również charakter agrarny, bo i na tej wysepce istnieje „liga rolna." I tam także wysłano oddział wojska, gdyż policya zmuszona była do odwrotu.

Robotnicy belgijscy urządzili znowu szereg manifestacyj, a na 15 sierpnia zapowiadają wielkie zgromadzenie ludowe w Bruxelli. Odezwy treści podburzającej rozlepiono na rogach ulic. Rząd przedsiębierze środki policyjne dla stłumienia ruchu; mogą one przeszkodzić w danej chwili wybuchowi, ale kiedy rewolucya, jak w Belgii, stała się chroniczną, siłą zbrojną niepodobna jej stłumić.

Prasa francuska zajęta jest sprawą generała Boulanger'a. Jak wiadomo, minister wojny okazał się w sprawie wydalenia książąt gorliwym obrońcą zasad republikańskich i on to głównie wystąpił przeciwko propagandzie monarchicznej wśród wojska. Obecnie dzienniki zachowawcze ogłaszają listy jego, pisane przed kilkoma laty do księcia Aumale, którego nazywa „królewską wysokością" i zapewnia o swojem przywiązaniu i wdzięczności. W najgorszym razie listy te rzucać mogą tylko cień na charakter prywatny człowieka, monarchiści jednak i republikanie umiarkowani żądają dymisyi ministra, popieranego przez stronnictwo radykalne.

Polacy pruscy otrzymali nowy dowód życzliwości stolicy apostolskiej. Papież mianował biskupem chełmińskim, w Prusach Zachodnich, księdza Rednera, niemca. Ks. Dinder przynajmniej jest obojętnym, kiedy Redner występował zawsze jako zacięty przeciwnik narodowości polskiej i nawet podczas ostatnich wyborów agitował przeciw polskiemu kandydatowi do parlamentu, namawiając duchowieństwo, żeby głosowało za przedstawicielem stronnictwa centrum. Dla ułatwienia germanizacyi stolica biskupstwa ma być przeniesioną z Pelplina, w okolicach którego mieszka zwarta ludność polska, do innej miejscowości, prawdopodobnie do Chełmna (Culm) lub do Gdańska.

W Birmanii wybuchło powstanie, dla stłumienia którego oddziały angielskie nie mają dosyć siły, wysłano więc im na pomoc kilka pułków indyjskich. W Tonkinie również miały podobno miejsce rozruchy, ale prasa francuska milczy jeszcze o tem.

Turcya cywilizuje się. Niedawno w Konstantynopolu był zamach na wielkiego wezyra, okazało się jednak, że człowiek, który strzelał, nie miał żadnych zamiarów politycznych, jest to po prostu biedak, obdarty do koszuli przez poborców podatków.

Z Ameryki przychodzą wiadomości o poważnym zatargu pomiędzy Stanami Zjednoczonemi a Meksykiem. Powód do zajścia dało aresztowanie korespondenta, ale ponieważ amerykanie dawno mają apetyt na północne okręgi Meksyku — wojna jest bardzo prawdopodobną.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

POD SKRZYDŁAMI SWOBODY.

Lwów, 6 sierpnia.

Czytelnicy *Prawdy* przypominają sobie zapewne sprawę Dybowskiego, która narobiła tyle wrzawy w kołach prawowiernych. Pisząc o niej, wyraziłem nadzieję, że skarga trzech arcybiskupów, zaniesiona do ministeryum, pozostanie bez odpowiedzi. Opierałem swą nadzieję na tem, że konstytucya austryacka zapewnia profesorom uniwersytetu zupełną swobodę słowa w rzeczach nauki i że Dybowski w swym odczycie, trzymając się gruntu ściśle naukowego, nie nastręczył najmniejszego powodu do oskarżenia go o jakieś wycieczki przeciwko religii i kościołowi.

Na nieszczęście w tym samym czasie nastąpiła zmiana w ministeryum oświaty. Nowy minister, p. Gautsch, rozwijając od samego początku nadzwyczajną czynność, z której trudno było jeszcze coś wnosić o kierunku jego rządów, zaznaczył swe stanowisko — i wystosował do rektora uniwersytetu lwowskiego odpowiedź na zażalenie dostojników kościoła.

Zaczyna on ją od zapewnienia, że bynajmniej nie myśli ograniczać wolności nauczania, musi jednakże zwrócić uwagę, że odczyt Dybowskiego nie był stosownym w danych okolicznościach, kończy zaś ją delikatną przestrogą i nadzieją, iż w przyszłości nic podobnego się nie zdarzy.

Odpowiedź ministeryum z pozoru bardzo niewinna, gdyż sprowadza cały wypadek do znaczenia zwykłej przyzwoitości towarzyskiej, kryje w sobie gorczyczne ziarno najposępniejszej reakcyi.

Najprzód czyni ona odpowiedzialnym za całe zajście samego tylko rektora, ale nie powiada w czem jego wina: czy w tem, że zaprosił biskupów na uroczystość, nie dowiedziawszy się wprzód, jaka ma być treść odczytu, czy w tem, że dopuścił, iż wykład tej treści, co prof. Dybowskiego, został wygłoszonym przed zebraną publicznością. Nie ma wątpliwości, że rektor zawinił, nie porozumiawszy się z profesorem, czy może na jego odczyt zaprosić wyższe duchowieństwo. I gdyby o to tylko szło p. ministrowi, miałby on zupełną słuszność. Tak jednakże nie jest. Chodzi mu o coś więcej. Przesyłając na ręce rektora wyrazy swego niezadowolenia, główny kładzie nacisk na to, że odczyt Dybowskiego nie powinien był być wygłoszonym przed szerszą publicznością. I w tem właśnie tkwi zamach na niezależność profesora, który sam jest odpowiedzialnym za swe przekonania i nie podlega pod tym względem najmniejszemu nadzorowi ze strony rektora.

Powtóre, wyjaśniając przyczyny, dla których odczyt Dybowskiego uważa za niewłaściwy, powiada p. minister, że jest on antireligijnym i odznacza się bezwzględnością, nielicującą ani ze stanowiskiem profesora, ani z charakterem uroczystości uniwersyteckiej.

Zarzut antireligijności, zrobiony przez ministra odczytowi ściśle naukowemu, jest charakterystycznym. Zrozumiałym on byłby, gdyby pochodził z ust dostojnika kościoła, ale staje się zgoła zagadkowym, gdy go czyni kierownik oświaty, którego najpierwszym obowiązkiem jest czuwać, ażeby nauka w kraju stała na wysokości czasu. I pod jakimże to względem wykład Dybowskiego jest antireligijnym? Jest on nim o tyle, o ile cała dzisiejsza nauka jest antireligijną. Nauka, mając własne swe probierze, przyjmuje za prawdę to, co za taką każą jej uważać badanie, oparte na ściślej metodzie. Pod tym względem ani potrzebuje, ani może oglądać się na to, czy wykryte przez nią prawdy zgadzają się z tradycyą kościoła lub się jej przeciwią. Teorya Darwina nie więcej jest antireligijną, niż była w swoim czasie teorya Kopernika, z którą dzisiaj jakoś kościół potrafił się pogodzić.

P. minister nie powiada, dla czego uważa odczyt Dybowskiego za antireligijny. Ponieważ nie możemy w nim doszukać się czegoś, coby ów zarzut usprawiedliwiało, musimy go więc zaliczyć chyba na karb nieporozumienia. Jakie zaś mogłoby tu być nieporozumienie, wyjaśnia fakt, iż dy-

---

wiesz: „Jestem złodziejem, boś ty nim zostać kazała — a jednak... kocham cię zawsze!.."

— Maryo!

— Przypuśćmy — mówiła kobieta, otaczając obnażonem ramieniem, wysuwającem się z szerokiego rękawa, szyję Jerzego — wahasz się?

— Dobrze... a zhańbiony i odtrącony od ludzi będę myślał o tobie i myślą tą zabiję sumienie i wstyd.

— Doprawdy? Zaczynam wierzyć, że mnie kochasz. Poświęcasz mi majątek, życie, honor wreszcie; to dużo... ale nie wszystko jeszcze. Gdybym cię kochała, byłabym zazdrosną do szaleństwa. Będę należała do ciebie, a i ty, duszą i ciałem, musisz być moją własnością! Chcę być panią despotyczną twego serca, ja... ja tylko. Jeżeli mnie kochasz, jak mówisz, odpowiedz mi jeszcze na jedno pytanie. Siądź tu... koło mnie... bliżej jeszcze... tak! O, jaki masz wzrok palący... Słuchaj więc: wiem, że masz matkę, którą uwielbiasz. Gdybym zażądała, abyś ją opuścił, porzucił na zawsze; abyś o niej zapomniał, zostawił na pastwę samotności i rozpaczy; gdybym wymagała tego od ciebie, zrobiłbyś tę podłość dla mnie? Powiedz?..

Jerzy zerwał się blady i drżący. Wrzał cały. W nabrzmiałych żyłach krew falowała, jakby je rozsadzić miała... serce biło mu jak młotem... mgła zasłaniała mu oczy. Marya skoczyła za nim, jak kotka na ofiarę; zarzuciła mu ręce na szyję, a namiętne usta wpiła w jego spieczone wargi. Poczuła, że dreszcz febryczny przebiega jego ciało, czuła oddech piekący na swej twarzy, a wtedy, odrzucając głowę w tył, demoniczna a piękna, przeszywając go wzrokiem dyszącym namiętnością i żarem, spytała:

— Więc cóż? nie odpowiadasz mi?...

Jerzy porwał kobietę w ramiona i przycisnął do piersi, a upojony wonią jej ciała, rozszalały i wściekły —

— Niech i tak będzie — zawołał — porzucę matkę... niech stara kona w opuszczeniu i nędzy... bylebyś była moją!

A potem niech się świat wali!..

Jęk cichy i łoskot walącego się ciała przywołał go do przytomności. Jednym skokiem dopadł portyery i podniósł ją: promienie księżyca oświecały srebrnym blaskiem twarz sędziwą. Biedne serce nie wytrzymało zbyt silnego uderzenia i — pękło.

Jan Rutkowski.

KONIEC.

gnitarze kościoła czuli się głównie dotkniętymi zdaniem profesora, że zasada wyboru naturalnego ruguje na zawsze ze świata myśli *teleologię*—tę wieczną kość niezgody, tę zmorę filozofów. Nie wiedząc, co to jest teleologia, odnieśli zdanie o niej profesora do teologii. Czy coś podobnego nie zdarzyło się także austryackiemu ministrowi oświaty?

Charakterystyczniejszym jest jeszcze drugi zarzut — bezwzględności. Jeżeli po pierwszym mogły być jeszcze jakieś wątpliwości o zajętem przez p. ministra stanowisku, to po drugim i jego uzasadnieniu znikają one zupełnie. Widocznie p. Gautsch, stawszy się nagle i niespodzianie z podrzędnego urzędnika ministrem, zmienił tylko tytuł, w rzeczy zaś pozostał czem był — dyrektorem szkoły, któremu głównie chodzi o tresurę umysłową w duchu biurokratycznym.

Zarzut bezwzględności uzasadnia w sposób następujący: odczyt profesora zawiera krańcowe mniemania, które nie są odpowiednie dla szerszego koła słuchaczów, tem mniej, że wśród nich znajdowali się arcybiskupi, którzy nie mogli nie uczuć się dotknięci wygłaszanemi w nim przekonaniami; wreszcie niestosownym on był i z tego jeszcze względu, że znaczna większość kolegów Dybowskiego nie podziela jego zapatrywań.

Więc podług p. ministra oświaty krańcowemi są zasady, które nauka uważa za najznakomitszy dla siebie nabytek i którym zawdzięcza cały swój postęp dzisiejszy! Podług niego rozpowszechnianie i uprzystępnianie ich ogółowi nie zgadza się ze stanowiskiem profesora! Jest to prawdziwie austryacki pogląd na znaczenie nauki wogóle, na powołanie profesora i na potrzeby umysłowe społeczeństwa.

Czy nauka ma być mandaryńską mądrością, przeznaczoną tylko dla uczonych? Czy profesor wtedy tylko odpowiada swemu powołaniu, gdy wlokąc się ociężałym krokiem marudera za postępem czasu, poprzestaje na starych rupieciach, które postęp za sobą zostawia po drodze? Czy publiczność, gromadząca się na wykłady naukowe, ma zadawalać się tem tylko, co kościół i państwo uświęciły swą powagą?

P. minister upewnia, że nie myśli ścieśniać swobody słowa; można więc wnosić, że pozwala profesorom wygłaszać krańcowe przekonania w audytoryum wobec studentów. Jakaż w tem logika? Więc zasady krańcowe mają być zgubne dla wykształconej publiczności a nie są niemi dla młodzieży! Aleź jeżeli publiczność nie dowie się o nich od profesora, to dowie się od swych synów, którzy na wykłady uczęszczają. Zresztą, czy p. minister przypuszcza, że publiczność nasza od Dybowskiego po raz pierwszy dowiedziała się o darwinizmie? A od czegóż byłaby propaganda duchowieństwa, które w zbytniej gorliwości o zbawienie swych owieczek pospieszyło zawiadomić publiczność o grożącem jej niebezpieczeństwie, przestrzegając, by nie dawano wiary przewrotnej i niedorzecznej doktrynie. Kiedy u nas nikt jeszcze prawie o darwinizmie nie słyszał, ks. Pawlicki wystąpił ze swą broszurą: *Małpa i człowiek*, która ma tę zasługę, że wydała skutek przeciwny swemu zamiarowi —zachęciła bowiem niejednego do zaczerpnięcia u samego źródła wiadomości o przedmiocie.

Przed kilku laty w tych samych co Dybowski okolicznościach prawił o darwinizmie i materyalizmie ks. Paliwoda, profesor teologii, a w rok później ks. Zeller w sali ratuszowej i ks. Semenenko na kazalnicy w katedrze lwowskiej.

Więc wolno duchowieństwu przed forum publiczności wygłaszać sprawę, którą tylko uczeni fachowi mogą rozstrzygnąć i do której zrozumienia potrzeba oprócz teologii umieć jeszcze coś więcej; a nie wolno przemawiać o niej profesorowi zoologii, który jeden ma prawo, a nawet obowiązek wydawać o niej sąd stanowczy?

Ale prawda, nauka Darwina, przepuszczona przez sitko księżowskie i zaprawiona właściwymi specyfikami, jeżeli i potrafi zawrócić komu głowę, to tylko w kierunku, który dla austryackiego ministra oświaty jest bardzo pożądanym. Oznaczona przez niego opłata szkolna, zamykająca drogę do oświaty ludziom ubogim, wymownie świadczy, że nie chodzi mu o umysłowy rozwój społeczeństwa.

P. minister w tem głównie upatruje nieprzyzwoitość całego zajścia, że mówiono o darwinizmie w obecności arcybiskupów, którzy ze swego stanowiska muszą mu być przeciwni. A dla czegóż arcybiskup Morawski pozwolił o nim kazać ks. Semenence w kościele katedralnym? Gdyby prof. Dybowski rozprawiał o Darwinie na wizycie u którego z arcybiskupów, albo w towarzystwie prywatnem, w któremby znajdowali się biskupi — nie będąc do tego przez nich wezwanym — nieprzyzwoitość byłaby w tem widoczna: ale przemawiał on na zgromadzeniu publicznem i w uniwersytecie — przybytku wiedzy; przemawiał nie jako człowiek prywatny, ale jako przedstawiciel nauki, która dziś głównie opiera się na teoryi Darwina. Jeżeli w całym tym wypadku była nieprzyzwoitość, to tylko ta, jakiej dopuścili się dwaj arcybiskupi, którzy, nie umiejąc zapanować nad sobą, zbyt jawnie i szorstko starali się dać uczuć profesorowi swe niezadowolenie.

Zaiste, dziwnem i potwornem jest wymaganie, ażeby nauka nie śmiała wygłaszać swych prawd ze względu, że te prawdy dla kogoś są niemiłe. I czemże w takim razie będzie wolność jej, której p. minister ścieśniać nie myśli? Jeżeli dziś nie wolno jej wygłaszać swych prawd w obecności biskupów, to jutro mogą jej tego wzbronić również wobec namiestników i wszelkiego rodzaju ekscelencyj, a pojutrze nakażą jej milczenie zupełne w rzeczach, które nie są uświęcone przez kościół i państwo.

Ostatni punkt wywodów ministeryalnego niezadowolenia jest już po prostu śmiesznym. Dowodzi on wyraźnie, że p. minister oświaty nie ma najmniejszego pojęcia o zadaniach nauki i charakterze jej prawd, oraz najfałszywiej zapatruje się na znaczenie odczytów, mianych podczas uroczystego otwarcia roku szkolnego.

Podług p. Gautscha, odczyt prof. Dybowskiego był niestosownym jeszcze i z tego względu, że zawiera przekonania, z którerni znaczna większość jego kolegów nie zgadza się. A cóż profesora zoologii może obchodzić, że jego koledzy teologowie, filologowie i prawnicy, którzy tyle wiedzą o darwinizmie, co o wilku żelaznym, nie zgadzają się z nim pod tym względem. Przecież mówiąc o stanowisku zoologii i o jej rozwoju, nie twierdził, że wypowiadane przez niego przekonania są przekonaniami uniwersytetu lwowskiego. Przemawiał on nie w imię ciała zbiorowego, jakiem jest uniwersytet, ale w imię nauki, której on jest jedynym na uniwersytecie przedstawicielem. Rozpoczynając zawód nauczycielski, uważał on słusznie za swój obowiązek obeznać publiczność z podstawami, na jakich opiera się dzisiejsza zoologia, oraz wykazać, że zasady, którcmi się ona kieruje, nie są dowolnym wymysłem spekulacyi, ale koniecznym wynikiem dzisiejszego rozwoju wiedzy, logicznym wnioskiem danych, sprawdzonych doświadczeniem. Czy te zasady są prawdziwe, czy fałszywe, o tem nie mogą stanowić nietylko teologowie, filozofowie i prawnicy, ale nawet sam p. minister oświaty — gdyż na to potrzeba mieć pewne uzdolnienia naukowe, które dać mogą tylko specyalne studya.

P. minister upewnia, że nie ma zamiaru ścieśniać wolności nauczania, z tem wszystkiem kończy swą odpowiedź napomnieniem, że tym razem powstrzymuje się od dalszych dochodzeń, wierzy bowiem, że w przyszłości nic podobnego nie powtórzy się. Nie jestże to ironia, proste naigrawanie się ze swobody nauczania?!

Władysław Kozłowski.

BADANIA NAUKOWE.

PSYCHOLOGICZNE PODSTAWY RELIGII.

I.

Niezbyt dawno jeszcze wierzenia religijne różnych ludów i plemion budziły ciekawość kobiet tylko i poetów; nauka ścisła, oparta na badaniu i porównywaniu zjawisk, oddzielała się chińskim murem od teologii, zapewniając ją i siebie, że obydwie na tem zyskują. Tylko filozofowie, rozprawiający z obowiązku o wszystkiem, spieszyli z wygłaszaniem przeróżnych, zwykle z góry powziętych poglądów na sprawę powstawania i przeznaczeń religii; ale o naukowem badaniu faktów, o popieraniu swych twierdzeń dowodami, zaczerpniętymi z rzeczywistości, nie było jeszcze mowy. Religię, tj. całokształt pewnych mytów i kultów — uważano też bądź za wytwór fantazyi, bądź za wyrób samolubnej kasty kapłańskiej, bądź wreszcie za nędzny zlepek bredni, o którym poważny uczony mówić i myśleć nie powinien. Dzisiaj jest inaczej. Ostatnie dziesięciolecia wzbogaciły piśmiennictwo europejskie taką liczbą naukowych rozpraw i dzieł o religii, jakiej nie mogłyby nam przedstawić wszystkie wieki ubiegłe. Dość wspomnieć tu prace najnowsze: Lubbocka, Stapfera, P. Sabatiera, Chiapellego, A. Réville'a, Bourquin'a, A. C. Lyall'a, Leroy-Beaulieu'go, Barzelotti'ego, Perrin'a (wszystkie 1885 i 1886), aby się przekonać, jak daleco umysły spółczesne poświęcają się tego rodzaju zagadnieniom i o ile rozległe koło krajów i narodowości ruchem tym jest objęte.

Do podniesienia religii w oczach świata uczonego, do nadania jej powagi i wartości przedmiotu naukowych badań przyczyniła się w czasach ostatnich niemało teorya Darwina; ona też natchnęła większość dzisiejszych socyologów szczególnym dla sprawy tej zapałem, i co najważniejsza, wskazała im należytą metodę badania. Publiczność polska, systematycznie karmiona oszczerstwami, które ciemnota i spekulacya wrzaskliwych stróżów „zagrożonej“ tradycyi szerzy ze szkodą pamięci Darwina, publiczność — mówię — polska, z niedowierzaniem zapewne zapatrywać się będzie na takie określenie stosunku pomiędzy religią i darwinizmem. Jest ono wszakże słusznem: darwinizm, a właściwie ewolucyonizm, nauczywszy nas widzieć w życiu społecznem szereg objawów przystosowania się, nie pozwala tem samem lekceważąco pomijać tak powszechnych i trwałych, jak wierzenia religijne. Co więcej, zmusza on nas do wykrycia jak naturalnych źródeł zjawiska, tak też i przyrodzonych praw jego rozwoju. Bez tego teorya ewolucyi — jako nie obejmująca ogółu zagadnień życiowych — musiałaby upaść.

W kwietniowym i majowym zeszytach *Revue Philosophique* p. Lesbaseilles zamieścił obszerną rozprawę p. t. *Les bases psychologiques de la religion.* Treść jej zasługuje na uwagę z dwóch powodów: naprzód dla tego, iż jest ona dość oryginalną, powtóre zaś — że lepiej i wyraźniej od innych uwydatnia w niej autor wpływy darwinizmu na cały obszar wiedzy spółczesnej. Ponieważ nadto pogląd Lesbaseilles'a nastręcza sposobność do ciekawych i nie wszystkim znanych wyjaśnień i sprosto-

wań naukowych, sądzimy przeto, iż obszerniejsze przedstawienie tej pracy nie znuży tu nikogo.

Przedmiotem nauki o religiach (science religieuse), powiada autor, winno być *wytłómaczenie* religij, tj. zdanie o nich sprawy — w sposób odpowiadający wymaganiom wszelkiego rozbioru naukowego. Musi więc ona: 1) oznaczyć pewną ilość prawideł i przepisów, podług których odbywają się zjawiska religijne; 2) prawidła owe sprowadzić do mniejszej liczby praw, bardziej prostych i bardziej ogólnych. Tych ostatnich szukać oczywiście należy w poznaniu ogólnych zjawisk umysłowości, albo raczej działalności ludzkiej. Tak więc, celem teoretycznym powyższej nauki będzie: odnaleźć jakiś fakt ogólny, streszczający w sobie wszystkie zjawiska religijne, fakt, z którego wszystkie inne wyłaniają się niejako drogą ewolucyi; dalej — oznaczyć związek i stosunki tego faktu z przyrodą ludzkiego ducha.

Usiłowania, podejmowane dotychczas w celu wyjaśnienia początków i rozwoju religii dadzą się, podług Lesbaseilles'a, podzielić na dwie kategorye: z jednej strony mamy hipotezy kosmologiczne i filologiczne, z drugiej zaś — hypotezy racyonalistów i metafizyków. Punktem wyjścia w teoryi kosmofilologicznej jest jakiś *przymiotnik* (epitet), oznaczający własność danego przedmiotu; przymiotnik ów z biegiem czasu staje się rzeczownikiem: naprzód pospolitym, później zaś *imieniem własnem*, czyli że: pojęcie oderwane przerabia się na konkretne i staje się bogiem; ten ostatni zaś pojmowanym jest na podobieństwo natury ludzkiej i zostaje przedmiotem kultu. W teoryi metafizycznej punktem wyjścia jest pojęcie istności transcedentalnej, mającej początek swój w rozumie, uważanym za „władzę" odrębną; pojęcie owo w oczach osbnika, obdarzonego nietylko rozumem, lecz i wyobraźnią, przybiera charakter konkretny i staje się symbolem, nakoniec symbol powołuje do życia *obrządek*. W obydwóch przeto teoryach przypuszcza się, że człowiek zaczyna od postrzegania (percepowania) lub pojmowania, potem wyobraża, w końcu zaś działa. Innemi słowy: jedna hypoteza czyni z religii zbiór metafizycznych pojęć, druga — szereg przenośni, obie zaś dążą, co jest ich błędem głównym, do uczynienia z religii zjawiska niewytłómaczalnego—pod względem przyrodniczym, do zrobienia z niej biologicznego absurdu. W istocie: pod jakim względem przystosowuje się lepiej do swego otoczenia naród, wyobrażający sobie światło np. w postaci bóstwa i oddający mu cześć religijną? na czem polega jego wyższość w walce o byt — w porównaniu z narodem, który tego nie czyni? Ze stanowiska więc owych hypotez religia, zdaniem Lesbaseilles'a, nietylko nie jest niezbędnym warunkiem postępu, ale staje się jego hamulcem, istną chorobą ludzkiego rodzaju, cechą plemion najniższych, mogącą służyć za miarę ich ciemnoty i barbarzyństwa, tak iż postęp cywilizacyi musiałby wprost znajdować się w stosunku odwrotnym do rozpowszechnienia się wierzeń religijnych. Głównem źródłem błędów w obu teoryach jest to, iż zdają się one nie widzieć, że badane przez nie zjawiska odbywają się w łonie pewnych *organizmów*, że więc wyjaśnienia owych zjawisk szukać należy w prawach, organizmami tymi rządzących. To znaczy, iż w badaniach początku i rozwoju wierzeń religijnych oprzeć się trzeba przedewszystkiem na *psychologii*. Otóż w nauce tej żadne może prawo nie jest dziś tak powszechnie uznanem, jak to, *iż działalność świadoma naszego ducha podporządkowuje się działalności bezwiednej, z której się też wyłania*. Przypuszcza się pospolicie, iż wszystkie czynności organizmów zwierzęcych i ludzkich mogą dokonywać się sposobem dwojakim: świadomie i bezwiednie i że pierwszy z tych dwóch sposobów *w istocie swej* nie różni się niczem od drugiego. Tak np. psychofizyczny mechanizm *poruszenia ręką* będzie jednaki, bez względu na to, czy ruch ten wykonywam świadomie czy też nieświadomie (np. we śnie); świadomość jest więc tylko jakby czemś dodatkowem, jakby wyższą nutą tej samej melodyi. W rozwoju naszej działalności psychicznej jest ona ogniwem środkowem: *przed* nią i *po* niej — odbywają się w organizmie zjawiska życia nieświadomego. Kiedy drogi nerwowe są dostatecznie utorowane, wówczas dążące po nich prądy nie przekraczają progu naszej świadomości (bezwiedne, „machinalne" nakręcanie zegarka); ukazuje się zaś ona tylko wtedy, gdy prąd nerwowy napotka na drodze swej jakąś przeszkodę, gdy podążać będzie zmuszony w jakimś nieznanym sobie kierunku, gdy przeto w organizmie odbywać się będzie jakby połączenie drutem telegraficznym dwóch stacyj, przedtem niepołączonych. Z tego punktu widzenia, każdy akt świadomości jest *objawem nowego przystosowania się* organizmu. Gdy przystosowanie się to jednak dosięgnie należytego stopnia automatyczności, wtedy czynność świadoma stanie się znowu *bezwiedną*. W ten sposób widzimy, iż świadomość, nie stanowiąc *najgłębszego tła* naszej działalności psychicznej, odgrywa jednak wybitną rolę w rozwoju duchowym osobnika: do liczby dróg utworzonych dodaje ona nowe.

Określiwszy znaczenie świadomości, autor zatrzymuje się chwilę nad jej składowym pierwiastkiem, nad *wyobrażeniem*. Wyobrażenie (myśl), powiada on, jest tylko pewną fazą duchowej czynności: tą mianowicie fazą, kiedy czynność, nie znajdując w ustroju przysposobionego dla siebie mechanizmu, waha się pomiędzy kilkoma kierunkami; przed nią i po niej ukazują się fazy działalności nieświadomej, całe szeregi przystosowań się bezwiednych. Tak więc: dziedziną wszelkiej działalności *uorganizowanej* już w ustroju i posiadającej w nim *stały swój mechanizm* nie może być dziedzina *wyobrażeń* i *pierwiastków przedmiotowych*, lecz sfera pierwiastków *subjektywnych* i *czynnościowych* (*pratique*). Tak np. jedna z najlepiej uorganizowanych czynności ustroju *krążenie krwi*, odbywa się bez udziału wyobrażeń i tylko dzięki automatycznej *subjektywnej* działalności nerwów i mięśni. Religia jest funkcyą społeczną, *uorganizowaną* już, jest ona czynnością całego *gatunku*, nie zaś jednostki, jest pewnym rodzajem społecznego nałogu — dla tego też źródeł jej szukać należy nie w pierwiastkach wyobrażeniowych (rozum) i objektywnych, lecz w subjektywnych i czynnościowych pierwiastkach ludzkiego ducha.

Zachodzi teraz pytanie, jakie to są objektywne i czynnościowe pierwiastki, wśród których można znaleźć podstawę wierzeń religijnych? W przystosowaniu się *osobnika* do jego otoczenia podstawy tej, oczywiście, nie znajdziemy. Działalność jednostki jest tak różnorodną i zmienną, iż nie może się skrystalizować w jakimś jednym obrazie. Daleko stalszą jest i bardziej jednorodną działalność *gatunku*; religia więc musi być odwzorowaniem tej właśnie *zbiorowej* działalności, musi być pewnym objawem *przystosowania się gatunku*, nie zaś jednostki. Jeszcze raz: w zbiorowej działalności społeczeństwa szukać należy źródła wszelkich objawów religijnych.

Wyszedłszy z tego założenia, autor określa dalej *myty* i *kulty*. Co powinniśmy upatrywać w *mytach?* Są one *uosobieniem warunków naszej cywilizacyi*. Umysł ludzki ma w nich niejako widok (spectacle) swej własnej działalności. Działalność ta odbywa się zrazu bezwiednie, w pewnym jednak okresie swego rozwoju ludzkość uczuwa potrzebę uświadomienia jej sobie; religia właśnie jest takiem uświadomieniem przystosowaniem się społeczeństwa do warunków, sprzyjających jego rozwojowi, lub kładących mu tamę. Warunki te podzielić można na dwie główne kategorye: przedmiotowych (przyroda) i podmiotowych (osobnik). Do jakiegokolwiek działu należeć one będą, człowiek ubóstwia je nie inaczej, tylko jako *sprzymierzeńców lub wrogów swego postępu*. Warunki owe podzielić nadto można na ogólne i szczególne, tak iż ostatecznie utworzone z nich myty przedstawiać będą cztery odrębne grupy. 1) Myty *kosmiczne* (warunki przedmiotowe ogólne); 2) myty *etyczne* (warunki podmiotowe ogólne); 3) myty *historyczne* (warunki przedmiotowe szczególne); 4) myty *bohaterskie* (warunki podmiotowe szczególne).

W dalszym ciągu swej pracy przechodzi autor do rozpatrzenia kultów i stara się wyprowadzić ogólne prawa rozwoju wierzeń religijnych.

J. K. Potocki.

WYNALAZKI *).

Nowy i najpraktyczniejszy sposób skraplania tlenu. — Filtr elektryczny do oczyszczania wód ściekowych. — Masło oleomargarynowe. — Sztuczne kamienie szlifierskie i litograficzne. — Zastosowanie elektryczności do niszczenia osadu w kotłach parowych i do zapobiegania tworzących się w nich inkrustacyj. — Papier z trzciny cukrowej.

Cailletet wykrył nowy, prosty i łatwy sposób skroplenia tlenu. Używa on etylenu płynnego, który, wrząc w powietrzu otwartem, wytwarza zimno, doprowadzające do wrzenia przy pomniejszonem ciśnieniu tlen zgęszczony i oziębiony w tej temperaturze. Przyspieszając parowanie etylenu za pomocą machiny pneumatycznej, jak tego dokonywał Faraday w pierwszym tlenkiem azotu i kwasem węglanym, pozyskujemy obniżenie się temperatury o tyle, że tlen przechodzi w stan płynny. Cailletet poszukiwał środków uniknienia wielu niedogodności, wynikających z działania w próżni i w tym celu zalecał użycie formenu płynnego, którym posługując się, otrzymywał odrazu tlen i azot skroplone. Obecnie jednak etylen tak łatwo osiągnąć, że z korzyścią może on zastąpić formen; za pośrednictwem zaś etylenu, wrzącego w naczyniach otwartych, wytworzyć można tak niską temperaturę, że za jej wpływem tlen skrapla się najzupełniej. Proces Cailleteta zasadza się po prostu na przyspieszonem parowaniu etylenu, a to przez napływ do jego masy prądu powietrza lub wodoru, oziębionego w bardzo niskiej temperaturze.

Zbiornik stalowy, obejmujący etylen, przytwierdzony jest do prostopadłej podstawki z otworem skierowanym ku dołowi. W otworze tym osadzoną wężownicę miedzianą, trzy do czterech milimetrów w średnicy mającą, zamyka w niższym jej końcu przyszrubowany kruczek.

Gdy oziębimy do 70 stopni Cels. niżej zera wężownicę, zapomocą chlorku metylu, nagromadzony etylen ze słabem w tej temperaturze natężeniem wypływać będzie prawie bez żadnej straty z wężownicy, po otworzeniu kruczka.

Ta nowa całkiem konstrukcya przyrządu dozwala oziębiać gazy zgęszczone, jakby cały zbiornik obejmujący je przedstawiał temperaturę wężownicy.

Otrzymujemy etylen w cienkiej, szklannej rurce, pozostającej w naczyniu szklannem, obejmującem powietrze suche. Dość wtedy przyspieszyć parowanie etylenu za pośrednictwem szybkiego prądu powietrza lub oziębionego wodoru, aby pozyskać tlen zawarty w rurce szklannej w stanie płyn-

*) W rubryce tej zaznaczamy także wynalazki dawniejszej nieco daty, ale szerzej świeżo zastosowane.

nym, bezbarwny, przezroczysty i najzupełniej czysty. Temperatura etylenu na ciepłomierzu rtęciowym pokazuje wówczas 123 stopnie niżej zera. Wężownice miedziane, w których krążą powietrze i etylen, zanurzać potrzeba w chlorku metylu, parującym z wielką szybkością pod wpływem prądu powietrza przedtem oziębionego.

W rezultacie Cailletet uwidocznił, że przyspieszając parowanie etylenu płynnego za pośrednictwem prądu powietrza lub wodoru silnie oziębionego, obniża się jego temperaturę niżej *punktu krytycznego* tlenu, który w tym ośrodku skrapla się bez żadnej trudności.

Doświadczenie to jest tak prostem i łatwem w wykonaniu, że może być zastosowanem w każdej pracowni chemicznej i przy wykładach publicznych.

Doktór Dobell zaleca niszczenie zarodków szkodliwych zdrowiu, zawartych w wodzie do picia, przeprowadzeniem przez nią prądu elektrycznego, wskutek którego wytwarza się tlen oddziaływający dezinfekcyjnie. Myśl tę urzeczywistnił w praktyce dr Stefan Emmens, tworząc *filtr elektryczny*, złożony ze zbiornika szklannego, w którym pomieścił naczynia porowate, obejmujące węgiel kamienny lub żelazo gębczaste, oraz blaszki węglowe, łączące się z biegunem dodatnim za pośrednictwem bateryi Leclanche'a. Oddzielone są one od siebie innemi blaszkami węglowemi, dotykającemi ujemnego bieguna stosu. Woda przechodząc przez naczynia porowate, a zatem przez warstwę węgla kamiennego lub żelaza, wypływa na zewnątrz w stanie zupełnej czystości.

Emmens utrzymuje zgodnie z dr. Dobellem, że tlen wytwarzający się w takim filtrze, niszczy wszelkie zarodki, mogące zanieczyszczać wodę niebezpiecznie. Wynalazek ten mógłby być z wielkim pożytkiem zastosowany do oczyszczania wód ściekowych. W tym celu filtry powinny mieć kształt przewodu podzielonego na przegródki, stanowiące seryę elementów, przez które z kolei przepływałaby woda. Elektrody reprezentowałyby klatki drewniane, w których na przemian ułożonoby warstwy żelaza i koksu. W takiem urządzeniu stos pierwotny nie jest już potrzebnym, gdyż sam przewód stanowi potężną baterye, której prąd jest aż nadto wystarczającym.

Na targowiskach angielskich sprzedają obecnie masło sztuczne, znane pod nazwą *butyryny*. Na posiedzeniu towarzystwa londyńskiego „Society of Arts," Antoni Jurgens, technolog odczytał o tym nowym wytworze memoryał, którego przekład pomieścił znany dziennik naukowy *Revue scientifique*. Z podanych w nim szczegółów korzystamy.

W Wielkiej Brytanii zapotrzebowanie masła jest tak znacznem, że produkcya krajowa nie wystarcza. Kraj ten posiadał w 1833 roku około 3,400,000 krów dojnych, wydających blizko 8,172,000,000 litrów mleka, z której to ilości 3,518,500,000 ($^5/_{12}$) spożywano w naturze, 2,111,100,000 ($^3/_{12}$) używano do wyrobu serów, a pozostała część trzecia produktu, to jest przeszło 2,500,000,000 służyła do wytworu masła. Ponieważ $11\frac{1}{4}$ litrów mleka daje prawie funt masła, ogółowa zatem jego produkcya wynosiła około 248,000,000 funtów. Przyjmując, że każdy mieszkaniec Wielkiej Brytanii spożywa rocznie 13 funtów masła, co w rzeczywistości reprezentuje tylko przeciętną ilość minimalną, to na ludność 35,000,000 potrzeba liczyć 455,000,000 funtów masła, że zaś z udoju otrzymuje się go tylko 248,000,000, wypływa ztąd deficyt 207,000,000, który pokrywa *butyryna*.

Przedstawia ona pewne korzyści, zapewniające jej zbyt większy od masła, gdyż jest od niego tańszą, daje się przechowywać bez zepsucia dłużej i wreszcie skład jej chemiczny jest prawie identycznym z masłem krowiem. Zasadą butyryny jest *oleomargaryna*, innemi słowy, *margaryna* w połączeniu z *oleiną*, z której już dziś użytkują targowiska francuskie. Otrzymuje się ona w sposób następujący:

Zbiera się najprzedniejszą część tłuszczu zwierząt świeżo zabitych, usuwając zeń każdą cząstkę, mogącą mu nadawać smak nieprzyjemny; tłuszcz ten przechodzi następnie do machiny, w której przetwarza się w masę, mającą prawie spójność śmietany. Z kolei masa ta przeprowadzoną zostaje do kadzi drewnianych, ogrzewanych parą lub wodą gorącą, w temperaturze wszakże umiarkowanej. Tłuszcz tak stopiony spływa do zbiorników, w których się oziębia i oczyszcza sam przez się powolnie. Po upływie kilku godzin, stearyna zaczyna gęstnieć i przyjmuje barwę białą, odróżniającą się wyraźnie od koloru blado-żółtego oleomargaryny. Gdy materya ta nabędzie spójności w stopniu dostatecznym, małe jej ilości obwija się czystem białem suknem i poddaje pod prasę hydrauliczną siły 100,000 kilogramów, aby wydzieloną została cała ilość oleomargaryny. Pozostałą stearynę sprzedaje się fabrykantom świec.

W ten sposób otrzymana oleomargaryna przechodzi do maślnicy wraz z masłem, mlekiem i oliwą roślinną w naprzedniejszym gatunku. Mieszaninę tę oziębia się w wodzie mrożonej, poczem prasuje pod walcami żłobkowanymi i soli.

Tak otrzymaną butyrynę pakuje się i wysyła na sprzedaż. Margaryna angielska jest nieco zasobniejszą w produkty płynne od francuskiej.

Butyrynę, jeżeli jest starannie wyrobioną, niełatwo odróżnić od produktu naturalnego.

W krajach zachodnich wyrabiają obecnie sztuczne kamienie szlifierskie w sposób następujący:

Klej zwierzęcy w dobrym gatunku stawia się w wodzie w zupełnej prawie ciemności i dodaje się do tego roztworu 1,5% dwuchromianu potażu, rozpuszczonego w wodzie. Następnie potrzeba użyć szmerglu w najlepszym gatunku lub skałki dobrze sproszkowanej, w ilości dziewięć razy większej od wagi kleju zwierzęcego, i wymieszać starannie w jego roztworze. Pozyskane tą drogą ciasto, wylewa się w formy jakie nadać mu chcemy, potrzeba wszakże poddać je wielce silnemu ciśnieniu, aby nabyło w pożądanym stopniu spójności. Po tej operacyi masa wystawiona na promieniowanie słoneczne wysycha i kamień szlifierski gotowy.

Rosenthal z Frankfurtu nad Menem, podaje proces wyrabiania sztucznych kamieni litograficznych.

Cegiełki cementu miałko sproszkowanego i pomieszanego z wodą wstawiają się do pieca, lub wystawiają na otwarte powietrze, aby stwardniały. Zwilgocony cement ogrzewa się następnie dopóki cegiełki jego nie popękają we wszystkich kierunkach, poczem proszkuje się je i ugniata na ciasto z taką samą ilością cementu świeżego. Mieszanina ta przechodzi wreszcie do form blaszanych, znosząc ciśnienie 30 do 35 atmosfer. Wlewa się wówczas przez jedną ze ścian formy wodę, którą pochłania masa za pośrednictwem pompy ssącej, pomieszczonej z przeciwnej strony. Tak pozyskany kamień sztuczny poddaje się raz jeszcze nowemu ciśnieniu.

Ekonomiczny ten proces dozwala wyrabiać kamienie litograficzne wszelkich wymiarów.

Kamienie litograficzne sztuczne są barwy nierównie jaśniejszej, gdy do ich wyrobu użyto zamiast cementu węglanu wapna.

Wiadomo że kotły parowe zanieczyszczają się licznymi osadami, w skutek których ulegają mniej lub więcej ważnym uszkodzeniom, stając się niezdatnymi do użycia. Dla zniszczenia tych osadów najdzielniejszym środkiem są prądy elektryczne. Dla ich zastosowania dość jest połączyć dwa bieguny bateryi, złożonej z dziesięciu lub dwunastu elementów Bunsena z krańcami kotła. Po upływie 30 lub 40 godzin, w ciągu których działa prąd elektryczny, osady oddzielają się od ścian i spadają na dno kotła. Po takiem jego oczyszczeniu można przeszkodzić wytwarzaniu się w kotle nowych inkrustacyj, używając w tychże samych warunkach mocnego prądu elektrycznego. Proces ten niedawno zastosowanym został z wielkiem powodzeniem w jednym z wielkich zakładów przemysłowych w okolicach Calais.

Dotychczasowa produkcya papieru nie jest wystarczającą w porównaniu w olbrzymią jego konsumcyą, ciągle wzrastającą, gdyż ilość szmat nie odpowiada potrzebie. Dla zaradzenia temu, od lat dziesięciu użytkują papiernie z włókien drzewnych; przyrządzanie też papki papierowej drzewiastej stało się przemysłem wielce korzystnym i wielce rozpowszechnionym w Niemczech. Natomiast amerykanie zaczęli w ostatnich czasach wyrabiać papier z odpadków trzciny cukrowej, po wydzieleniu z niej całego zasobu soku. Produkt ten dotąd posługiwał tylko do ogrzewania kotłów w cukrowniach i stanowił, dodać potrzeba, dość lichy materyał opałowy.

Na ostatniej wystawie w Nowym Orleanie, zwracał uwagę zwiedzających papier trzcinowy. Nie może on wprawdzie dziś jeszcze dorównywać szmatowemu, lecz służy doskonale do drukowania dzienników. Zresztą przy znanej energii amerykanów, nie ma żadnej wątpliwości, że w niedługim czasie, fabrykacya tego papieru ulepszoną zostanie, co zdają się już zapowiadać dokonane próby.

Ciekawe są dane statystyczne odnośnie przemysłu papierowego. Jakkolwiek konsumcya papieru powiększyła się w czwórnasób w Stanach Zjednoczonych w latach ostatnich, to jednak przywóz dochodzący w 1873 roku cyfry 4,000,000 franków, zmniejszył się w 1877 r. o 50,000 fr.; wywóz zaś, który w 1869 r. nie dosięgał 20,000 franków, wzrósł w 1883 r. do 8,000,000 franków przeszło! Godnem jest zaznaczenia, że cyfry te odpowiadają temu okresowi czasu, w którym amerykanie popierali jak najenergiczniej system protekcyjny.

N.

LITERATURA I SZTUKA.

JAN LAM.

I.

Przed laty dziesięciu zajrzałem po raz pierwszy do Lwowa. Być tam i nie poznać Lama? Okazało się, że to nic tak łatwe dla ludzi, jak ja, dziennych. Objaśniono mnie bowiem, że znakomity humorysta pod pewnym względem przypomina króla bawarskiego: sypia w dzień, a czuwa w nocy. Przy dość słabej mojej ciekawości i chęci zawiązywania stosunków, byłbym niewątpliwie wyjechał bez poznania „arcybiskupa żydowskiego," gdyby nagle do restauracyi, w której objadowaliśmy z kilkoma literatami, nie wszedł gość, przyjęty przez obecnych zdziwieniem, wesołością i przyjaźnią. Był to Lam, który ułatwił mi spotkanie. O tej porze (o godz. 2-ej po południu) dawno go już nie widziano, to też powitano niezwykle. Brunet, słusznego wzrostu, wyglądał raczej na austryackiego urzędnika, niż na bawiciela.

Blada twarz, ocieniona czarnym, starannie uczesanym włosem i grubym wąsem, wyrażała powagę, którą podnosiło spojrzenie niemal surowe, zaostrzone okularami. W całej postaci, zdradzającej widoczną dbałość o siebie, w mowie, jak gdyby uczonej, w zbiegu zmarszczek czoła, które się rzadko rozsuwały, niepodobna było odgadnąć „rozpasanego cynika." Po tem pierwszem zdumieniu mojem nastąpiło drugie, jeszcze większe: od godziny Lam siedział z nami, rozprawiał wiele, a nie powiedział ani jednego dowcipnego słowa. Wprawdzie towarzysze moi od czasu do czasu wybuchali śmiechem, ale uwaga, wywołująca wesołość, była zawsze dla mnie niezrozumiałą, bo odnosiła się do osób i stosunków całkiem mi nieznanych. Lam wszystkim rozdawał najświeższe nowiny i wzajemnie od nich chciwie przyjmował. Dostrzegłem, że najmniejsze drobiazgi, plotki, małoważne wypadki, cały pył życiowy interesował go nadmiernie; ustępował tylko wiadomościom politycznym z bliższego pola i dalszych.

Pierwsze to wrażenie musiało być i było niedokładnem, odbiły się jednak w niem główne rysy głośnego humorysty. Mieszkając potem w Galicyi i poznawszy bliżej wątek jej życia, rozumiałem dokładnie „Kroniki" Lama i tajemnicę jego pióra. Nie był to pisarz dowcipny —jak Voltaire lub Heine — ale znakomity karykaturzysta; nie ciskał ostrych strzał sarkazmu, ale dotkliwie ośmieszał. Ośmieszanie stanowiło główną jego broń i siłę. Polegało ono na zwykłych środkach farsy — na karykaturowaniu ludzi w ich właściwościach i stawianiu ich w warunkach zmyślonych a potęgujących dziwaczność obrazu. Jeżeli np. Lam wydrwił jakiegoś posła, to nie nicował i nie robił szarpiu z jego mów sejmowych, nie wykazywał braku wiedzy i logiki, nie wsadzał szydeł w słabizny, ale z motywów jego rzeczywistej wartości kreślił fantastycznego dziwołaga, w którym prawda znikała pod zmyśleniem. To też jego humor był czysto opisowy. Nie dał się ten humor kruszyć i rozłamywać na osobne zdania, nie wytryskały z niego i nie rozpływały się po społeczeństwie pojedyncze dowcipne uwagi, co najwyżej, podawano sobie tylko z ust do ust jakieś przezwisko, jakąś łatę, przypiętą komuś na plecach. Jednego — za Lamem — nazywano „durnym Edziem," drugiego „Benjaminkiem," trzeciego „borytielem." itd. Ta właściwość jego humoru, posługującego się przeważnie zabawnymi opisami i wplatanemi w nie anegdotami, występuje również w powieściach, niemal zupełnie pozbawionych dyalogu, który już wymagałby dowcipu. Śmieją się one ciągle w opowiadaniu wesołem, utkanem z mnóstwa żartobliwych zestawień i nawiasów. Bohaterowie rzadko dopuszczeni są do głosu i autor układa z nich karykaturalne obrazy.

Jeżeli który z czytelników warszawskich weźmie dziś do ręki wydane osobno *Kroniki* Lama (umieszczone w *Gazecie narodowej* od r. 1868—9), niesłusznie nazwane „przyczynkiem do historyi Galicyi," przekona się, że albo ich wcale nie zrozumie, albo go wcale nie ubawią. Ciągle bowiem spotykać będzie zagadkowe napomknienia i przycinki, parodye i szykany, które w swoim czasie i na swojem miejscu mogły być bardzo pieprzne i rozweselające, ale, oderwane od właściwej chwili i gruntu, spłowiały i zmętniały. W tym względzie Lam przypomina Tackeraya, którego wielbił i naśladował—nie jest humorystą ogólno-ludzkim, nie narodowym, lecz wyłącznie galicyjskim, a nawet lwowskim. Przeczytajcie słynne *Snoby*, niewątpliwie zapytacie, gdzie w nich kryje się dowcip, bo nie znacie ich tła życiowego. Podobne wrażenia sprawiają „Kroniki" Lama; już z Warszawy trudno je zrozumieć, a po 20 latach trzeba je odgadywać, jak rebusy. Autor urósł, wkorzenił się w swoje miasto i prowincyę, z niej czerpał soki dla swego umysłu, jej pulsy odczuwał, jej powietrzem oddychał, o jej potrzebach rozmyślał. Dlatego tak go zajmowały najdrobniejsze sprawy zakątka, dlatego w swych artykułach używał osobnej gwary, dla tego uprawiał patryotyzm powiatowy. Znał on wszystkich „łyków," radców, starostów, adwokatów, lekarzów, urzędników, ich interesami i walkami zamykał widnokrąg swych fejletonów i powieści, ich rozśmieszał lub ranił, ich uznaniem lub obawą karmił swoją chwałę. Dziwiono się niejednokrotnie, że jego fejletony w *Gazecie lwowskiej*, ogarniające horyzont europejski, były nudne, bezbarwne, czasem puste i nie przypominające wcale autora „Kronik" w *Dzienniku polskim*; tymczasem rożnica owa miała przyczynę jasną: Lam po za Lwowem, po za Galicyą tracił skrzydła, stawał się bezlotkiem.

Jedna nić wiązała go ze światem szerszym — polityka, którą badał starannie i której pasmem przetykał gęsto nawet swoje powieści. I ta właściwość znamionowała w nim syna Galicyi. Kraj ten świeżo z ucisku wyzwolony i obdarowany samorządem, utopił całą swoją uwagę w sprawach politycznych. Nauka, sztuka, zagadnienia filozoficzne i społeczne odsunięto na dalekie plany, na pierwszym postawiono namiestnictwo, sejm, delegacyę w Radzie państwa, stańczyków i liberałów, zatargi administracyi niemieckiej z prawami krajowemi, stosunki monarchii na zewnątrz itd. Rój tych robaków osiadł na mózgu Lama i opanował wszystkie jego myśli, wwiercił się w jego humor. Polityka w fejletonach, polityka w powieściach. W tych ostatnich za plecami bohaterów ukazuje się ciągle to Giskra, to Schmerling, to Belcredi, to Gołuchowski, to wreszcie dyplomaci miejscowi. Z tej sfery czerpie autor porównania, podobieństwa, sprzeczności — główne barwy swego pióra.

W współczesnej literaturze polskiej trudno wskazać drugiego pisarza, który byłby tak nawskróś dziennikarzem, jak Lam, któryby tak żył interesami miejsca i chwili bieżącej. Posiadał on rozległą wiedzę, którą wszakże po bliższem zbadaniu zdradzała swoje źródło gazeciarskie. Z pism peryodycznych uczył się matematyki, filozofii, socyologii, historyi, nauk przyrodniczych— wszystkiego. Jak wieloryb wchłaniał fale w morzu prasy i wystrzykawszy wodę, połykał drobne żyjątka. W odcinku *N. fr. Presse* złapał artykuł o analizie spektralnej, w *Saturday Review* — o mieszkańcach wyspy Borneo, w *Pester Lloydzie* — o koloniach rzymskich, wszystko to zatrzymał niezmiernie chwytną pamięcią i przy sposobności zużytkował. O każdej umiejętności umiał coś nowego powiedzieć, chociaż na polu nauki znał tylko wierzchołki jej drzew. Czasami próbował ześlizgnąć się na dół — do pnia i korzeni, ale te próby, odbywane zwykle w *Gazecie lwowskiej*, zawodziły go niemal zawsze. Natomiast ostatnie karty wiedzy i historyi recytował bez zająknienia.

Że taki pisarz był nieocenionym dla dziennika i lubianym przez publiczność — pojąć łatwo. Wprawdzie szczypał i ranił boleśnie, ale ponieważ nie oszczędzał żadnego żywiołu i nawet z „suteryny" (odcinka) wyszydzał własną redakcyę „na pierwszem piętrze," ponieważ ośmieszał wszystkie stronnictwa, więc w żadnem nie można dojrzeć przeciw niemu nienawiści i wszystkie wzajemnie szkodą przeciwników łagodziły cierpienia własne. Ochrzczono Lama liberałem, rzeczywiście najdłużej przebywał on w tym obozie. Trudno wszakże ściśle określić jego przekonania. Jako humorysta drwił ze wszystkich, jako pisarz omijał zagadnienia filozoficzne, jako galicyanin—trzymał się polityki narodowej. W jednym z ostatnich listów do *Gazety polskiej* przyznał się i do liberalizmu i do konserwatyzmu. Takim rzeczywiście był: chłostał stańczyków i demokratów, podcinał księży i był ich owieczką, sławił postęp i kpił z jego zdobyczy. Znęcając się przez lat wiele nad urzędową *Gazetą lwowską*, został jej współpracownikiem. Wezwany na świadka w pewnym gorszącym procesie dziennikarskim, oświadczył w sądzie, że stałego związku z żadną chorągwią nie utrzymuje. Ta wielobarwność z jednej strony rozszerzała zakres swobody jego humorowi, z drugiej podtrzymywała dlań sympatyę. Każda bowiem partya odnajdywała w nim swój kolor i żadna nie potrzebowała go innym zazdrościć. Tylko wyznawcy stałych zasad, sekciarze i fanatycy, budzą gniew i nienawiść. Dodajmy do tego zalety towarzyskie, miłe niedbalstwo w życiu praktycznem, wady błyszczące światłem przymiotów, ochoczość biesiadną i czyste sumienie, we Lwowie dość rzadkie, a wymierzymy szerokość i głębokość sympatyi, jaka otaczała zmarłego. Jego śmierć jest dla Galicyi, dla dziennikarstwa lwowskiego stratą olbrzymią. Ani talentem, ani użytecznością miejscową nikt go tam nie zastąpi.

Sława Lama odbijała się echem i u nas. Podziwiano go wszakże jako fejletonistę na kredyt uznania galicyjskiego, gdyż „Kronik" nie czytano. Czytano tylko powieści, przez które zmarły prawie wyłącznie zyskiwał rozgłos w Królestwie. Ponieważ przytem powieści te są głównym spadkiem, jaki literatura odziedziczy po nim — gdyż artykuły przygodne opadną jak kwiaty po swojej porze — rozpatrzymy je więc bliżej. Wypełnią one nam kontur, który ogólnikowo nakreśliliśmy.

LITERATURA POLSKA.

M. Stankiewicz. **Wiadomość o biblii litewskiej**, drukowanej w Londynie 1633 r. i o wrzekomem jej tłómaczu S. B. Chylińskim. Kraków, 1886, str. 23 w 8-ce m.

Wbrew ustalonemu i wielokroć powtarzanemu mniemaniu, że jakoby Chyliński był tłómaczem zaginionej obecnie biblii litewskiej, autor broszury powyższej dowodnie i umiejętnie przekonywa, iż kto inny przekładu dokonał; opowiada też koleje niedokończonego druku tej biblii, opierając się na nie dość silnie dawniej uwzględnionych wskazówkach Łukaszewicza w *Dziejach kościoła helweckiego*, oraz na najnowszych danych, zgromadzonych staraniem prof. Bezzenbergera. Przekładu dokonali na podstawie tekstu Bretkuna (kaznodziei królewieckiego, zmarłego 1602 r.) Jerzy Srodzki i Jan Borzymowski, przy pomocy nieznanych nam z imienia innych kalwińskich duchownych na Litwie. Biblię wydrukowano w Londynie po psalm XI tylko, a to dla braku funduszów. Nadzwyczajna jej rzadkość pochodziła z powodu niepołacenia drukarni, która egzemplarzy nie wydała i później je zapewne zniszczyła. Jedyny egzemplarz, który istniał jeszcze w Wilnie około r. 1853, dzisiaj gdzieś znikł.

Książeczka p. Stankiewicza nosi drugi ogólny tytuł: „Studya bibliograficzne nad literaturą litewską," a nad wyżej podanym widzimy liczbę I. Życzyć należy, aby poczynający autor nie poprzestał na tej pierwszej próbie, która pod każdym względem jest pomyślną; niecierpliwie oczekiwać będziemy dalszego ciągu prac p. Stankiewicza, bo i pole, na które wstępuje, jest zbyt mało obrabianem i przygotowanie nowego pracownika, jak widać, jest dostatecznem do jego uprawy.

Jan Karłowicz.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Cisza w dziedzinie życia i ruch w dziedzinie śmierci — Liszt i nasza dla niego sympatya. — Bohater romantyczny. — Lam. — Postrzyżyny nekrologowe. — Właściwości i grzechy. — Mumie wzajemnie do siebie podobne. — Literatura zdawkowych frazesów. — Mechaniczna paplanina. — Towarzystwo łowieckie. — Myśliwi jako dobroczyńcy zwierząt. — Coby na to miłosierdzie powiedziały kuropatwy i zające. — „Szlachetna rozrywka.“

Tak pusto i tak cicho w Warszawie, że pisma opowiadają szczegółowo o ruchach i minach gromadki anglików, zwiedzających nasze miasto, że aż p. Lewenthal, właściciel kilku kamienic, inaczej redaktorem zwany, rozerwał nam nudy ogłoszeniem w swych organach o wyjeździe za granicę. Ale milczenie życia zastępują smutne gwary śmierci. Ledwie oswojono się ze zgonem Liszta, telegraf przyniósł żałobniejszą od tej kartę pogrzebową Lama. Muzyk węgierski chociaż nie był wielkim talentem twórczym, chociaż z nami nie związał się żadną trwalszą pamiątką, używał wśród nas szczególnej sympatyi. Czy dla tego, że był węgrem, pieszczochem arystokracyi, burzliwym kochankiem w młodości, zakonnikiem na starość, przyjacielem Chopina i jego biografem? Lubimy węgrów, lubimy bohaterów romantycznych, lubimy ludzi, którzy ocierali się życzliwie o nasze znakomitości. Więc Liszt miał dla nas urok. Jakże klaskaliśmy w ręce przed paru laty, gdy przyleciała kaczka dziennikarska, że ten lew w książęcej sukni ma do nas przyjechać, że się da słyszeć na koncercie lub w salonie prywatnym! Zaprzeczyć trudno, że umiał on otoczyć się ponętnym wdziękiem. Gwałtowna przemiana, w której oblubieniec hrabiny d'Agoult i ojciec trojga jej dzieci został nagle franciszkaninem i podobno nosił w swem sercu urnę popiołów idealnej miłości do królowej Wiktoryi — musiała oddziałać na wyobraźnię narodu tak sentymentalnego, jak nasz, jeśli oddziałała na inne trzeźwiejsze. Niedawno umarli: Rancke, Waitz, Duncker, uczeni wielkiej wartości i sławy — ledwie zauważyliśmy te mogiły; tymczasem na grób Liszta składamy wieńce, pióra dziennikarskie przewiązujemy krepą, bo go — lubiliśmy, bo go — istotnie żałujemy. Z uczuciami niema sporu, więc można je tylko — o ile są szczere — szanować.

Na dłużej wystarczyłoby nam smutku po Liszcie, gdyby go nie zatarła śmierć Lama. Należał on również — w stopniu naturalnie daleko wyższym — do pisarzów, od których łaska ogółu nigdy się nie odwraca. Kto wszakże czytał jego prace, zapewne wie, za co go cenił; ale kto czytał tylko poświęcone mu wspomnienia pozgonne, ten wcale nie wie, jakie jego zasługi z innymi chórem opiewał. U nas bowiem w życiu istnieją między ludźmi znaczne różnice, ale w nekrologach zlewają się wszystkie w jedną barwę komunału. Tam Odyniec podobny do Moniuszki, Wójcicki do B. Zaleskiego, Lam do Żmichowskiej, bo tam wizerunki odbijają się na kliszy zaprawionej zdawkowym frazesem: znakomity autor i zacny człowiek. O rysach znamiennych niema wzmianki, bo nieraz potrzebaby uwydatnić taki, który psuje harmonię panegiryku. Hyenizm literacki, wykopujący trupy z grobu, ażeby je pożreć, bezwstydne łobuzowstwo, urągające boleści, płaczącej nad trumną nieboszczyków, śmiałe krążenie kruków nad zwłokami martwych lwów — wszystko to są wybryki wstrętne. Ale nie należy zasady: *de mortuis nil nisi bene* posuwać do zapamiętałej bezmyślności, nie należy od fotografów żądać, ażeby zdejmując odbicia z nieboszczyków, zamazywali ich brodawki, zmarszczki i skrzywienia. Literatura również nie może być zbiorem fałszerstw, lecz obrazem prawdy. Niektóre z pism naszych nie umieją odróżniać właściwości ludzi od ich wykroczeń. Sztuczna przyzwoitość, modna sznurówka, kłamstwo konwencyonalne dalej jeszcze rozciągnęło dziedzinę grzechu, niż katechizm. Wstydzimy się mówić publicznie o spodniach, które nosimy na wierzchu, o piersiach, które uwydatniamy przez gorsety, o piciu wódki, którą wchłaniamy we wszystkich knajpach, o dziewczynach sprzedajnych, które poufale witamy na ulicy i w teatrze — itd. Pomijając obłudę, niejedna z tych cech charakteryzuje człowieka, którego zbadać chcemy. Bez znajomości stosunków domowych Sokratesa, Danta, Goethego, Sanda, Byrona, czy mielibyśmy dokładne wyobrażenie o tych pisarzach? Zwłaszcza gdy przestaliśmy wierzyć w rozmaite namaszczenia i natchnienia, do rozbioru umysłów potrzebny nam jest przedewszystkiem ich materyał życiowy. Jeśli zaś na tyle obrażamy majestat śmierci, że ważymy mózgi talentów i geniuszów, czemuż mamy przemilczeć o ich nawyknieniach i upodobaniach, niewołających o pomstę ani do etyki, ani do kodeksu karnego? Jakże przydałaby się Peschlowi, oceniającemu wpływ tytoniu, banalna z pozoru a obszerniejsza, niż posiadał, wiadomość, którzy z wielkich ludzi używali tego narkotyku? Bzdurny i nieświadom swych zasad zwyczaj przeciągnął między prywatnem a publicznem życiem fantastyczną i krzywą granicę, której strzeże z koźlim uporem. Wolno jest ogłaszać w dziennikach najtajniejsze wypadki rodzinne ludzi zwykłych — bijatyki małżonków, marnotrawstwa synów, miłostki córek itd. — ale nie wolno wydrukować, że zmarły poeta był smakoszem, chociażby wszyscy o tem wiedzieli. Od biedy wolno powiedzieć, że lubił trufle, ale nie wolno zdradzić, że lubił wino. Zwłaszcza używanie alkoholu zastrzeżone jest szczególnym sekretem. Jeżeli ktoś wypijał codzień garniec mleka, to mu przynosi zaszczyt; ale jeżeli wypijał dwie butelki wina, to — hańba. Dlaczego wino ma być sromotniejszem od mleka, nie pojmuję i tak zwana przyzwoitość nekrologowa nigdy się z takich rozróżnień nie wytłomaczy. Stoi ona z mieczem nad arką, w której spoczywają banialuki, a sądzi, że czuwa nad świętym zakonem.

Lam ssał życie pełnemi ustami, bo pustelnikiem nie był. Naturalnie rozwinęły się w nim rozmaite upodobania, które, według naszej miary, rdzą na jego charakter nie padały, które znać trzeba, ażeby go zrozumieć, o których zresztą każda pensyonarka lwowska wiedziała. Otóż gdy o tych jego właściwościach wspomniano, natychmiast rozległo się w prasie takie przeraźliwe *pst!*, jak gdyby rzucono błoto w grób znakomitego pisarza, któremu dozwolono kłaść do trumny dawnym zwyczajem tylko butelkę soku malinowego i kilka wytartych liczmanów. Niechże go ktoś odkopie za lat 50, czy odgadnie, że to był ów humorysta, który kazał sobie na kamieniu wyryć: „tu leży ten, który się śmiał, albo raczej śpi ten, który się śmieje, chociaż umarł?“ Zaiste, on się śmieje z tej zabawnej powagi.

Otwórzmy jakąkolwiek historyę literatury, ile tam znajdziemy odmiennych charakterów? A w naszej? Mumie jednako ułożone, jednako owinięte i zabalsamowane. Każdy—„znakomity (lub zasłużony) pisarz i zacny człowiek.“ Gdzieniegdzie tylko od komunałów odbija się jakiś charakterystyczny znaczek, z życia wykradziony, jakaś niewinna miłostka lub miła niepraktyczność. Zresztą jednostajność: Kochanowski podobny do Potockiego, Rej do Trembeckiego, Osiński do Kołłątaja a wszyscy do siebie — znakomici pisarze i zacni ludzie. W tych przystrzyżonych równo szpalerach niknie wszelka różnica wysokości uzdolnień i ich kierunku. I najwięksi dzielą los mniejszych. Część korespondencyi Mickiewicza schowana, Krasińskiego także, Słowackiego bardziej, ale nie całkiem odsłonięto itd. Czego tak pisana, albo raczej tak kłamana literatura może nauczyć? Tylko dalszej obłudy i malowania dziejów umysłowości polskiej przez patrony. Słowacki powiedział, że „sercem gryzie,“ od tego czasu — według nekrologów — wszyscy satyrycy „sercem gryzą.“ Na tej zasadzie Lam odkomenderowany został do pułku Słowackiego. W tymże szeregu stanie kiedyś Bałucki, Gomulicki, Lubowski, Prus, kto tylko kiedykolwiek się śmiał. Dzięki temu poborowi przeciętny polak może słusznie powiedzieć: wiem, że literatura polska istnieje, ale jak wygląda, nie wiem, bo nie przypuszczam, ażeby miała twarz jedną.

Gdyby ludzie stojący na rogatkach i komorach piśmiennictwa lub przy jego probierzach zdawali sobie tylko jasno sprawę z tego, co mówią, gdyby uroczyście nie powtarzali frazesów łupinowych, w których jądro logiki wypróchniało, gdyby swoje słowa sprawdzali elementarną krytyką, nie doznawalibyśmy tylu „boleści,“ nie mielibyśmy powodów do tylu „oburzeń“ i — śmiechu. Na nieszczęście jednak wiatr nietylko w kominach dziwne melodye wygrywa, zabiega on i do głów ludzkich. A co tam wyprawia! Ma być założone u nas Towarzystwo łowieckie. Ani słowa, potrzebne — dlatego, ażeby wytępić kłusownictwo, tępiące zwierzynę o każdej porze i wszelkimi sposobami, ażeby chłopi nie chwytali małych zajączków, nie zabijali kotnych samic, nie wybierali z gniazd jaj, nie wyłapywali kuropatw sidłami na śniegach itd. Przeszłoroczna zima, która sama i do spółki z chłopem wydusiła prawie doszczętnie kury polne, gdzie nie rozciągnięto nad niemi opieki, o pożyteczności takiego stowarzyszenia dostatecznie przekonała. Lud nasz jest dotąd największym szkodnikiem, jakiego natura urodziła, gorszym od lisa, wilka, kuny, niedźwiedzia, bo niszczy zarówno rośliny, jak zwierzęta. Umie on obłamać gałąź przydrożnej wiśni dla zerwania kilku jagód i osłonięcia konia przed muchami, łupi i zjada wszystko, co żywe: wrony, słowiki, wiewiórki, zięby, dudki, wilgi, nie rozumie wcale, ażeby tę grabież kiedykolwiek przerwać należało. Ograniczenie go w tej grabieży byłoby istotnie bardzo pożądanem, ale do dobrej woli już wmieszał się bezmyślny frazes. Licho sprawiło, że ktoś kiedyś myśliwstwo, będące pozostałością barbarzyńską, nazwał „szlachetną rozrywką.“ Od tego czasu święcie wierzymy w tę „szlachetność“ a świeżo złożyliśmy nowy dowód naszej nieświadomej gadaniny. W projekcie ustawy Towarzystwa łowieckiego zastrzeżono, że jego członkowie muszą należeć do członków Towarzystwa opieki nad zwierzętami. Uprzytomnijmy sobie tę szczególną logikę: ponieważ jestem przyjacielem zwierząt, więc je zabijam i nie pozwalam dusić zająca we wnykach, natomiast wspaniałomyślnie odstrzeliwam mu nieraz nogę lub kawał skóry i zranionego skazuję na długie męczarnie, dopóki nie wyliże się lub zdechnie. Tą samą „szlachetną rozrywką“ uszczęśliwiam kuropatwy, cietrzewie, sarny, dziki, lisy itd. jako ich troskliwy „opiekun.“ Cała ta dobroczynność przypomina mocno nowoczesną politykę, w której zapewne dyplomaci zostaną wkrótce członkami ligi pokoju. I kogo my okłamujemy? Zwierzęta? Nie, bo one wiedzą, czego mają się spodziewać od naszych wyżłów, chartów, jamników i dubeltówek. Okłamujemy tylko siebie. Czy więc nie prościej i nie uczciwiej byłoby powiedzieć: zakładamy Towarzystwo łowieckie dla dogodzenia swojej dzikiej

rozrywce i dla umiarkowania jej, ażeby zwierzyniec krajowy nie wyginął i dawał nam ciągle łupy? Oto jest szczere i jasne postawienie kwestyi. O miłości ku zającom i kuropatwom nie ma tu co bajać, bo gdyby one głosowały, niezawodnie wolałyby, ażeby je chłopi łapali w sidła, niż myśliwi podstrzeliwali. Nie wzruszyłoby to wcale samicy, ze kłusownik zabija ją w kwietniu, kiedy brzemienna, a my we wrześniu mordujemy matkę z dorosłem dzieckiem. Zwierzęta są za... mądre, ażeby pojąć i ocenić tę „szlachetność“ i jeleń myśliwego do swych „przyjaciół“ nie zaliczy. Polujmy przeto oszczędnie, we właściwej porze, zapobiegajmy tępieniu zwierzyny ze względu na naszą własną korzyść, ale nie przebierajmy się w kurtki z barwą miłosierdzia i nie wiążmy Towarzystwa łowieckiego z Towarzystwem dobroczynności dla zwierząt. Bo śmiesznie, zbyt politycznie wyglądać będziemy jako „przyjaciele“ zająców i kuropatw strzelający do nich.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Poczciwość nasza. — Komplet zbrodni. — Gwałciciele. — Pożar w Przysusze. — Cud. — Pokuta. — Sprostowanie. — *Tydzień* piotrkowski i Niemcy. — Cenne drobiazgi.

Jak każdemu z nas dobrze wiadomo, jesteśmy narodem wybranym pod każdym względem: nie mówiąc już o naszem „posłannictwie,“ ani o „roli dziejowej,“ które w ostatnich czasach przyćmiły się nieco, świecimy jeszcze zepsutemu światu przykładem cnót domowych, skromności obyczajów i dobrodusznej poczciwości. Nawet zjadliwi pesymiści, którzy żartują sobie z „posłannictwa“ i z „roli dziejowej“ i nawet z przykazania o naszej rodzimej cywilizacyi — i ci zgodnie przyznają współziomkom swoim przymiot uczciwości, chociaż cnotę tę stawią w pewnym związku, jakby to grzecznie powiedzieć, z... naiwnością. Sącałe narody, którym ciągle wykluwamy oczy regestrem cnót naszych. Słowem, czy przeznaczeni do zbawienia świata i cywilizacyi, czy nie, jesteśmy skromni, obyczajni i poczciwi.

Tymczasem życie tego bogobojnego społeczeństwa w jednym tygodniu dostarcza takiego kompletu zbrodni, który wystarczył by na zapełnienie kroniki kryminalnej należycie zepsutego narodu. Gdyby wiązka faktów mogła służyć za podstawę do wniosków ogólnych, należałoby raczej przyznać, że w społeczeństwie naszem pod pokrywką ogłady pozornej szaleją popędy dzikie, a wyrafinowana rozpusta idzie w parze z okrucieństwem zwierzęcem, bezmyślnem. Cały szereg potwornych występków przesuwa się w łamach pism: tu dzieci mordują rodziców bez powodu, bez możności nawet wytłomaczenia zbrodni, tam matka więzi i morzy głodem piętnastoletnią córkę, cierpiącą konwulsye i puszczaną samopas na włóczęgę po ulicach miasta, gdzieindziej znowu mąż podrzyna gardło żonie, która była dlań „za stara.“ Każda z tych zbrodni obfituje w szczegóły potworne, nieraz tak wstrętne, że powtórzyć tu ich niepodobna. Do Międzyrzeca przyjeżdża młoda 17-letnia dziewczyna, która śpieszy do krewnych swoich w Radzyniu i nie mogąc znaleźć furmanki, zatrzymuje się na noc w zajeździe. Późno w nocy przychodzi do niej trzech młodych żydów, z których jeden przedstawia się jako agent policyjny i żąda paszportu. Dziewczyna miała tylko książeczkę legitymacyjną, żydzi więc żądają, aby udała się wraz z nimi do magistratu, w drodze, korzystając z ciemności, zaciągają ją do jakiejś szopy i tam gwałcą. Zbrodniarze zostali wykryci i nie minie ich surowa kara, słusznie należna takim łotrom, ale dlaczego mija ona tego bohatera ze Skierniewic, którego jedno z pism nazywa już człowiekiem „dotychczas uczciwym i szlachetnym,“ żałującym za grzechy i postępek jego tłomaczy chwilowym szałem? Wprawdzie przestępstwa przeciw czci niewieściej mogą być dochodzone tylko wskutek skargi osoby pokrzywdzonej, co jest bardzo właściwem, ponieważ nieraz rozgłos hańby może być dotkliwszym, aniżeli poczucie doznanej krzywdy, ale w danym wypadku, kiedy fakt rozgłoszony został (z wymienieniem nazwiska ofiary i zatajeniem nazwiska winnego), wzgląd ten nie powinien mieć miejsca. Zresztą skoro w toku innej sprawy ujawnionem zostanie tego rodzaju przestępstwo, władza sądowa ma obowiązek dochodzić zbrodni z urzędu, tutaj zaś chyba musiało być wszczętem śledztwo, chociażby dla wyjaśnienia przyczyny kalectwa panny G. Ale nie chcę bynajmniej być prokuratorem, ani sędzią śledczym, niechaj winny uniknie nawet odpowiedzialności prawnej — mniejsza o to. Chodzi mi tu o moralną stronę tej sprawy. Zarząd drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej karze winowajcę — przeniesieniem na inną stacyę. Jest to pobłażliwość występna. Karą jest to, co wielu ludzi uczciwych uważałoby dla siebie za nagrodę — posada, płatna dobrze, chociaż gorzej może, niż poprzednio zajmowana. A o wspólniku zbrodni milczą już teraz kuryery, ten, zapewne, nawet ukarany przeniesieniem nie został. No! pp. moraliści, których raziło dotkliwie ostre słowo wypowiedziane o kobiecie, wy, co teraz występku bronicie i tłomaczycie go chwilowym szałem, wy co jesteście kolegami biurowymi winowajcy i ściskacie może przyjaźnie dłoń jego — gdzie się podziała wasza drażliwość etyczna? Teraz właśnie należałoby wystąpić z artykułami w obronie czci niewieściej, miotać gromy oburzenia i żądać kary według całej surowości prawa. Teraz wypadałoby pociągnąć do odpowiedzialności, bodajby w pismach, zarząd kolei, który osłania występek. Tak! Ale zarząd kolei ma do rozdania dobre posady, do których przywiązana pensya zdolna jest rozbroić nawet pokątnych Katonów i ma powagę, którą uznają pp. Szymanowski i Lewental, więc nie udzielą w łamach swych organów gościnności głosom w obronie znieważonej czci kobiecej. No, ale za to żydom z Międzyrzeca dostanie się podwójna porcya szlachetnego oburzenia.

Nie pisałbym o pożarach, bo te są zjawiskiem codziennem w lecie, ale ten pożar, w którym spłonęło miasteczko Przysucha, wyróżnia się tem, że był towarzyszem okropnego czynu. W Przysusze mieszkał izraelita Wolanowski, oddawna obłąkany, którego podejrzywano o podpalanie domów i podobno raz nawet schwytano na gorącym uczynku. Rzecz jasna, że waryat tego rodzaju winien być osadzony w domu obłąkanych, a przynajmniej strzeżony pilnie, tymczasem Wolanowski chodził swobodnie i nikt nań nie zwracał uwagi. Dopiero w czasie pożaru przypomniano sobie sprawki szaleńca, schwytano go więc i powleczono do ognia. Próżno nieliczna straż policyjna starała się uwolnić nieszczęśliwego, mieszczanie, przeważnie żydzi, odbili swą ofiarę i rzucili w płomienie. Trzykrotnie wyskakiwał z ognia, za każdym jednak razem chwytano go i rzucano napowrót do gorejącego domu, ostatecznie skrępowano go powrozami i położono w ogień, który ciało nieszczęśliwego spalił na węgiel. Trudno winić tłum ciemny, działający pod wrażeniem strasznej klęski, stokroć winniejszą jest tu władza miejscowa, która ani ocalić od śmierci biednego podpalacza nie umiała, ani nie potrafiła zabezpieczyć miasta od pożaru, usuwając waryata.

Tłum, zwłaszcza w stanie podniecenia, nie może rozumować, nie zdaje sobie nawet sprawy ze swych czynności. W każdym człowieku kryją się instynkty dzikie, które najczęściej dopiero w stadzie ludzkiem wybuchają gwałtownie i działają bezwiednie, na oślep. Ciekawym przyczynkiem do psychologii tłumu, rzucającym charakterystyczne światło na zagadkę ruchów ludowych, jest najświeższy „pogrom“ żydowski w miasteczku Targowicy, w powiecie humańskim. Do miasteczka tego na jarmark przyjechało wielu kramarzy żydów; miejscowy uriadnik, niewiadomo z jakiego powodu, zaczął ich rozpędzać. Wtedy chłopi ujęli się za żydami; policya zmuszona była cofnąć się. Tymczasem podczas walki kilku pijaków skorzystało z zamieszania i napadło na szynk żydowski. Kiedy zobaczyli to obrońcy żydów, zmienili nagle front i rzucili się na kramy: w ciągu kilku godzin miasteczko zostało złupione, żydzi poturbowani i tylko dzięki wmieszaniu się księdza prawosławnego chłopi nie dopuścili się większych gwałtów, chociaż zabranych towarów nie oddali. Przyjezdnych żydów ta życzliwość chłopska i niespodziewane jej następstwa kosztowały, jak obliczają, 20,000 rubli.

Poczciwe społeczeństwo, w którem w harmonii z cnotą żyją różne drapieżne instynkty, nie jest przecie pozbawione hamulca dla złych skłonności. Czynność tego przyrządu społecznego spełnia u nas religia, czyli, co, jak powiada *Przegląd katolicki*, na jedno wychodzi, duchowieństwo. Jeżeli jednak w narodzie pod pozorem ogłady kryją się dziedziczne popędy zwierzęcości, to i religia jego pod formą kultu duchowego jest właściwie fetyszyzmem. W Studzienicy, w gub. suwalskiej pobożni zauważyli, że na obraz, pomieszczony w ołtarzu wielkim, podczas nabożeństwa pada niezwykłe światło. Wieść o cudzie rozeszła się szybko, do kościoła spieszyły tłumy wiernych, do kieszeni proboszcza—gromady miedziaków a nawet arystokratyczeego bilonu lub jeszcze lepiej urodzonych banknotów. Nareszcie dowiedziała się się o cudzie władza policyjna, która zapytała księdza o objaśnienie, lecz ten tłomaczył światło „niezbadaną łaską opatrzności.“ Niestety, wyznaczony dla śledztwa urzędnik zażądał innych, bardziej przekonywających argumentów, gdy zaś mu ich nie dostarczono, okazał się niedowiarkiem i postanowił „zbadać“ cud. Po dokładnem obejrzeniu kościoła okazało się, że w ścianie nad wielkim ołtarzem wydrążony był otwór, przez który przechodziło światło słoneczne i padało na obraz. Dziurę zalepiono i cud znikł, ale pomysłowy ksiądz ma być pociągnięty do odpowiedzialności.

Należałoby uczynić to samo z jego kolegą, który wskrzesił obrzędek klątwy średniowiecznej. P. X. obywatel ziemski schwytał żonę swoją i proboszcza na obcowaniu więcej blizkiem, niż duchownem; nie wiem, jak tam było z owieczką, ale pasterz od obrażonego małżonka i jego przyjaciela otrzymał bolesny upominek, który na czas pewien przeszkodził mu zajmować się zbawieniem powierzonych pieczy jego dusz. Kiedy przyszedł do zdrowia, ksiądz wyklął zuchwałe owce, a duchowieństwo sąsiednich parafij ogłosiło podobno publicznie tę klątwę. Sąsiedzi usunęli się od p. X., chłopi przestali doń chodzić na robotę. Po dwuletniem prześladowaniu biedny mąż uległ i przeprosił uwodziciela, nie dosyć jednak na tem, musiał on odbyć publiczną pokutę, według przyjętego ceremoniału, tj. biczując się i klęcząc, i wyznać głośno, że żona jego jest nierządnicą. Obecnie zuchwały grzesznik wrócił już na ojcowskie łono prawdziwego kościoła, przyjaciel jego zaś pozostaje dotychczas wyklętym.

Kiedy już mowa o księżach, muszę uczynić tu małe sprostowanie. W num. 31 *Prawdy* wspomniano, że pewien ksiądz,

wydając za mąż córkę, kupił jej w posagu majątek. Obecnie korespondent nasz prosi o sprostowanie, że była to córka chrzestna. Ponieważ okoliczność ta może mieć pewne znaczenie dla osób trzecich, chętnie prostujemy niedokładność, jakkolwiek z naszego stanowiska nie potępiamy bynajmniej księdza za to, że ma dzieci, tembardziej zaś nie możemy winić nikogo, że ojcem jego jest ksiądz. Fakt, o którym mowa, podany był przez nas nie dla wytknięcia księdzu, że jest ojcem, jak się zresztą okazało — chrzestnym, ale dla wykazania cyfry dochodów duchowieństwa. Wszelka więc drażliwość osób trzecich, wobec niniejszego wyjaśnienia, nie ma słusznej podstawy.

Od czegokolwiek bym zaczął moją kronikę, przejść muszę zawsze do niemców. Winnym jest tu właściwie *Tydzień* piotrkowski, który w każdym numerze podaje wiązkę faktów, dotyczących niemieckiej gospodarki u nas. Gdyby nie było tego pisma i pozostał dla całej gubernii jedynie *Dziennik łódzki*, moglibyśmy w dobrej wierze sądzić, że wzajemne stosunki obu narodowości nie pozostawiają nic do życzenia. Zresztą w ostatnich czasach nawet tańczący na dwóch łapkach około „wielkiego przemysłu" *Dziennik* wziął trochę na kieł i przynajmniej zaczyna twierdzić, że gazety niemieckie są zgoła niepotrzebne w Łodzi. Na początek dobre i to, chociaż ta gorliwość obywatelska podszyta jest własnym interesem wydawniczym. Jakkolwiek kronikarz tego pisma znowu brutalnie zaczepia *Prawdę*, przebaczam mu ten wybryk złego humoru, bo znam jego pobudki. Niefortunny Sarmaticus, polemizując z *Lodz. Zeit.*, zaczepił autora odezwy straży ogniowej, pomieszczonej w tem ostatniem piśmie, tymczasem okazało się, że owym bezimiennym samozwańcem jest nie kto inny, jak sam.. p. K. Scheibler. Łatwo wyobrazić sobie, jak po wyświetleniu tej „okoliczności" przedłużył się nos słowiański szanownego Sarmaticusa i semicki, a więc już i tak dosyć długi, nos jego mentora, dyktującego zwykle treść i znaczącego ton kroniki. Na szczęście *Dziennik* wywinął się dosyć zręcznie, zbeształ *Lodzer Zeitung* i z miłym uśmiechem wykręcił się na pięcie przed p. Scheiblerem, jest więc nadzieja, że „jedyny posterunek polski" w Łodzi nie straci opieki niemieckiej.

Ale wracam do *Tygodnia*. W sprawie wyświetlenia charakteru gospodarki niemieckiej u nas pismo to uczyniło więcej, niż wszystkie inne razem. Każdy prawie numer jego jest treściwą kroniką niemieckich zaborów, nadużyć, pychy, jest litanią krzywd drobnych, ale zbiorowo wielkim głosem wołających o pomstę. W ostatnim numerze redakcya stara się uzasadnić swoje stanowisko i śmiało rzuca w oczy prasie polskiej (z małymi wyjątkami, do których nas zalicza) politykę owijania prawdy w bawełnę, politykę niewolniczego pochlebstwa względem niemców lub sentymentalizmu, który dla łatwiejszego porozumienia, nazywa po imieniu głupotą. Jeżeli prasa zdobywa się niekiedy na odwagę, to tylko pod naciskiem opinii publicznej. Uwaga to słuszna i właśnie ta opinia publiczna posiada chociaż iskierkę energii i dumy narodowej, które wyrażają się bardziej bezpośrednio w pismach prowincyonalnych i odbite tylko przedostają się do prasy warszawskiej. Nawoływała ona np., żeby polacy nie jeździli do wód niemieckich — ale kto ją do tego skłonił: listy i żądania prenumeratorów. Czytelnicy rzeczywiście nie pojechali do wód niemieckich, ale współpracownicy *Kur. warsz.* twierdzącego, że każde źródło niemieckie dadzą się zastąpić innemi, pojechali i pismo to pomieszcza np. korespondencye z Ems pióra panny H. J. B., tłomacząc, że autorkę zmusiły do sprzeniewierzenia się zasadom — szczególne „okoliczności." Mniejsza o pannę H. J. B., którą literatura nasza mogłaby odstąpić niemcom bez żadnego wynagrodzenia, a nawet z pewną dopłatą w naturze, np. z dodatkiem Maranthosa, Or—ota, N. A. mora i innych nowelistów kuryerowych...

Tydzień postępuje wytkniętą prosto drogą, zaznacza on krzywdy nasze i jątrzy rany, jakie nam zadaje chłosta niemiecka.

Tymczasem „polskie pijaki," jak nazywa robotników naszych w *Lodzer Zeitung* p. Ender, fabrykant z Pabianic, którzy ani o tysiącoletnim związku z kulturą zachodnią, ani o wymaganiach wyższej polityki nie wiedzą, stawiają niemcom czasem skuteczny opór. Pisaliśmy już o bezrobociu w Pabianicach, teraz zaznaczymy pomyślne jego rezultaty. Robotnicy w jednem przynajmniej postawili na swojem i dzisiaj już w żadnej fabryce nie pracują w święta i niedziele. Drugie zwycięstwo— to zaprowadzenie komendy polskiej w straży ogniowej. Drobne to tryumfy, ale i życie całe większości ludzi z drobnych czynów się składa.

P.S. Pisma codzienne donoszą, że, jakto przewidywaliśmy, prokurator rozkazał uwięzić owego telegrafistę ze Skierniewic, w skutek czego droga żelazna dała mu dymisyę.

J. Nieborski.

CUDZE GŁOSY.

Pieśń tryumfu. Po zamianowaniu członków komisyi kolonizacyjnej i rozpoczęciu działań antypolskich na całej linii, *Berliner Politische Nachrichten* z bezwzględnością, którą chyba tylko pruską nazwać można, śpiewają taki hymn na cześć kultury niemieckiej:

„Niemiecka robota na wschodnich granicach państwa w celu odzyskania ich dla niemieckiej myśli i cywilizacyi rozpocznie się wkrótce na całej linii. W obozie polskich agitatorów objawia się bądź zajadłość, bądź trwoga i chwiejność, zawsze jednak z piętnem uczucia, niechętnie wyznawanego, ale stwierdzającego przewagę niemiecką w tej *szlachetnej* (!) walce współzawodnictwa, prowadzonej równą (!) bronią. Polsko-narodowej agitacyi pomagają owoce toczonej od lat dziesiątków pracy tajnej i podkopującej. Owoców tych nie wyrzeknie się obóz polski bez zaciętej walki i organizuje w tym celu obronę od wielu już miesięcy, wytężając wszystkie swoje siły i środki. Niestety, polscy wichrzyciele znajdują w tych zabiegach przychylną pobłażliwość niemieckich wolnomyślnych frakcyj, których prasa otwiera gościnne szpalty dla wszelkich, z polskich źródeł płynących, wiadomości, chociażby jej udowodniono tendencyjność i niezgodność z prawdą tych polskich skarg.

W tem mnóstwie poziomych namiętności, pod któremi fanatyczna opozycya radaby pogrzebać dzieło germanizacyi na wschodnich granicach, nie posiada rząd w dążnościach swoich żadnego innego sprzymierzeńca, oprócz głębokiego przekonania o swoich prawach i ufności w jądro zdrowe, tkwiące w ludzie niemieckim i w robotniku niemieckim, który często brakowało jedynie szerszego pola działania, ażeby zapewnić zwycięskie powodzenie ich cnotom. To szerokie pole otwiera obecnie akcya państwowa tysiącom pracowitych żywiołów ludowych, które chcą stanąć do szeregu pionierów w celu rozpowszechnienia niemieckości we wschodnich marchiach granicznych. Przyznane dla ochrony (!) interesów niemiecko-narodowych w dawnych prowincyach polskich środki pieniężne, wdrożenie niemiecko-narodowej biurokracyi, opieka nad pielęgnowaniem niemieckości w szkole i kościele, wszystkie te środki są wprawdzie wielce doniosłe, ale tworzą one dopiero rusztowanie dla rzeczywistej budowy, którą rozpocząć ma robota niemiecka.

W którąkolwiek stronę za granicę skierujemy spojrzenie, wszędzie widzimy tryumfy niemieckiej pracy, jakkolwiek ta na obczyźnie skazaną jest tylko na własne siły i brak (!) jej oparcia narodowego. Niemiecka robota zdobyła na barbarzyństwie i dziczy w dalekich strefach (?) niejedną kwitnącą posiadłość, a co mogła zdziałać częściowo wśród stosunków trudniejszych, to dopiero teraz miało się jej zupełnie udać w chwili, w której praca idzie na pożytek nietylko jednostkom, ale równocześnie spełnia wysoką misyę patryotyczną. Pokojowe odbicie napowrót, zalanego powodzią polskiej agitacyi (!), terytoryum w obrębie własnych granic jest celem, którego tylko jedno z ogniw wiąże się z zadaniami, jakie sobie niemiecka praca wytknęła na międzynarodowem polu zdobycia i opanowania wielkiego targu świata. Żyjmy nadzieją i życzeniem, że naród nasz zarówno tam, jak tutaj dorośnie do tego zadania."

Ile tu kłamstw, bredni i bezczelności!

PRASA ROSYJSKA.

Graždanin, organ dosyć wpływowy w sferach arystokratycznych, pomieścił obszerny artykuł o przyjaźni rosyjsko-niemieckiej, w którym widzimy ten sam zwrot znamienny, jaki niedawno zaznaczyliśmy w polityce *Mosk. Wiedomosti.*

„Kiedy Bismark zaczyna pod naszą granicą *na wszelki wypadek* gromadzić wojska, wtedy natychmiast każe swoim organom, aby występowały z płaczem i skargami z powodu *koncentracyi rosyjskich wojsk nad granicą pruską.*

Kiedy Bismarkowi przyjdzie na myśl zadać cios naszej polityce ekonomicznej jakąś nową taryfą, wtedy jego gazety rozpisują skargi na Rosyę, która ciemięży handel pruski różnemi umyślnemi prześladowaniami.

Kiedy nareszcie spostrzeże, że tu i owdzie ktoś z nas, przetarłszy oczy, trzeźwo spojrzy i powie: „jednakowoż, do licha, my jesteśmy w całkowitej zawisłości od Berlina, trzebaby raz z tem skończyć" — wtedy puszcza w kurs ks. kanclerz artykuły, ubolewające nad tonem prasy rosyjskiej, „odstępującej od tradycyi," ignorującej długoletnią przyjaźń „dwóch dobrych sąsiadów" itd.

Ale gdy się zdarzy, że i to nie skutkuje, wtedy kanclerz zdobywa się na jakiś *truc*. Tutaj Bismark jest mistrzem, a jużto najmilszy mu jest *le truc du polonisme*. Więc zaczyna trwożyć nas polską rewolucyą i zarzekać się, że wszystko co gubi Rosyę ekonomicznie i politycznie jest dziełem polaków, a pochodzi stąd, że my rosyanie nie dość dusimy polaków. I wtedy proponuje nam Bismark maleńką *partie de plaisir*, zawierającą się w słowach: duśmy polaków na współkę, zaciera ręce, przekonany o naszej ślepocie i powiada do swoich: „Ja tych głupich rosyan zaprzątnę polakami, a tymczasem capnę cząstkę Rosyi i jej życia ekonomicznego troszeczkę..."

I ta polityka udawała się Bismarkowi przewybornie, a wymownym tego dowodem jest Królestwo Polskie, w którem my wytężamy swe siły na dręczenie polskości, otwierając tylko naścież wrota Prusom, tak samo jak przedsięwziąwszy rusyfikacyę kraju Zachodniego, całą granicę upstrzyliśmy tylko sobie koloniami pruskiemi..."

Dla uzasadnienia swego poglądu, że Rosya działała nieraz wbrew swoim interesom, byle zachować przyjaźń Prus i Austryi, autor zwraca się do historyi ostatniego stulecia i tak mówi:

„Dyplomaci Katarzyny pospieszyli skłonić ją do rozbioru Polski — do *największego błędu*, popełnionego kiedykolwiek przez Rosyę, mającą prawo do wszystkiego. Dyplomaci Aleksandra I sprawili, że staliśmy się przyczyną i ofiarą wszystkich powodzeń austryackich i pruskich, a oddawszy nam w udziale ruinę i spustoszenie na pół wieku starczyć mające; i to wszystko dla ocalenia Austryi i Prus, a potem dla odrodzenia i umocnienia się tychże Prus i Austryi. Dyplomaci Mikołaja I dali nam kampanię węgierską i długie lata polityki, której uwieńczeniem stała się jedność Niemiec i potęga Prus. W jednym

tylko roku 1848 wybawiliśmy Austryę od powstania węgrów, a Prusy od rewolucyi. Koronę zaś tej działalności naszych dyplomatów stanowi korzenie się w proch przed Napoleonem III, a potem przed Bismarkiem, koronę której ostatni klejnot—to kongres berliński.“

Petersburskija Wiedomosti z powodu korespondencyi z Galicyi, zamieszczonej w *Warsz. Dniewniku* i zaznaczającej zwrot w usposobieniu polaków względem Rosyi, oraz z powodu innych wzmianek podobnych tego dziennika, piszą:

„Zwrot ten najoczywiściej zasługuje na uwagę ze strony rosyjskiej. Jeżeli nowa moda przekroczy kordon i dojdzie do brzegów rosyjskiej Wisły, gdzie, niestety, wielu jeszcze bawi się niespożytemi tradycyami roku 1863 a bodaj i 1831, to niewątpliwie będzie stąd jakiś pożytek: stosunki polsko-rosyjskie uproszczą się i ułatwione będzie miałe zadanie rosyjska administracya w kraju. Straciwszy nadzieję w Poznaniu, politycznie upamiętawszy się w Galicyi, niewątpliwie staną się polacy przychylniejsi dla „barbarzyńcy moskala,“ pod którego władzą materyalnie się bogacą, gdy przeciwnie w Austryi ubożeją, używając wszystkich praw obywatelskich, których odmawia im pruska kolonizacya w Poznańskiem. Wszystko to nasuwa rozmyślania nader pocieszającego charakteru.

Jedno tylko jest tu dość niejasne: co wywołało ten zwrot rozsądny? Mówmy bez ogródki: wywołały go przyczyny zewnętrzne, które poprostu uniemożliwiły polakom zwrócenie się do kogokolwiekbądź z wyjątkiem Rosyi. Ziemia rodzinna usuwa się z pod nóg polskich: najbardziej rusożerczy szlachcic zdumiony ogląda się dokoła, nie widząc punktu wyjścia. Kolonizacya pruska Poznańskiego, to nie żarty; w Galicyi znowuż żyd coraz głębiej załazi do majątków polskich, a w komitecie giełdowym warszawskim tenże żyd tryumfalnie głosi niezdolność polaków do pracy produkcyjnej i przymierze z polakami mojżeszowego zakonu padaz efektem. Rozmyślają więc polacy, w rozmyślaniu tem dochodzą do rozsądnych wniosków i zwracają się ku Rosyi.

Taka jest w krótkości historya zwrotu, na który patrzymy. Mając przeto wyciągnąć korzyści z tego zwrotu, należy znać jego wartość; wtedy i stosunki wzajemne pozbędą się tej sentymentalności, która zawsze rozbija się o zimną rzeczywistość, przynosi rozczarowanie i bezpośrednią szkodę rozczarowanym. Mówimy to w sposób najprostszy i najotwarciej, albowiem kwestya „bratniego“ przyjęcia polaków w ramiona Rosyi, gotowa jest stanąć na porządku dziennym i w prasie rosyjskiej, gdzie już rozczulać się zaczęto tym najazdem żydowsko-niemieckim na ziemie polskie. Zaznaczyć ten zwrot należy, ale nie idzie zatem, żeby zaraz wierzyć w jego trwałość. Nowa faza stosunków polsko-rosyjskich bezwątpienia wymaga próby czasu: okrzyki, którymi witani byli w murach Waszawy Aleksander I i Aleksander II, kiedy ci monarchowie nadali polakom dobrodziejstwa autonomicznej nieledwie swobody, nie zapobiegły przecież tragedyom, które się rozegrały w roku 1831 i 1863.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Teatr. Komedya pp. M. Wołowskiego i J. Kotarbińskiego wystawioną została przez towarzystwo dramatyczne poznańskie w Alhambrze i pozyskała powodzenie. W numerze przyszłym pomówimy o utworze tym obszerniej.

Rozporządzenie Senat postanowił i zawiadomił o tem instytucye sądowe i notaryuszów, że kto ze spadkobierców nie wniesie w ciągu dni 130 po otwarciu spadku należnej opłaty, będzie musiał uiścić ją później w ilości potrójnej. W wielu jednak wypadkach w tak krótkim przeciągu czasu niemożebnem jest uregulowanie spadku — w jakiż więc sposób uniknąć można kary?

Ograniczenie. Liczba szynków i bawaryj w znaczniejszych miastach będzie ograniczoną do pewnej normy; nowy zakład tego rodzaju może być otwartym tylko po zamknięciu któregokolwiek z istniejących.

Akcyza od drożdży nałożoną została w ilości 10 kop. od funta na wyroby krajowe i po 14 kop. na wyroby zagraniczne.

Szkoły. W Kownie z początkiem przyszłego roku szkolnego (1887/8) otwartą będzie szkoła realna, w Rossienach zaś progimnazyum czteroklasowe.

Komisya dla zbadania przemysłu Królestwa postanowiła zwrócić uwagę i na fabryki warszawskie. Dla pozyskania odpowiednich materyałów rozesłała ona przemysłowcom tutejszym kwestyonaryusz, który jak wspominaliśmy, rozdany został poprzednio fabrykom prowincyonalnym.

Kapitał sług, pochodzący z opłaty wnoszonej za książeczki służbowe, dosięgnął już 104,000 rs. Odsetki od tej sumy pobiera rada miejska dobroczynności publicznej. Obecnie poruszono myśl przeznaczenia tego kapitału, zgodnie z brzmieniem pierwotnej ustawy, na wsparcie dla niezdolnych do pracy sług.

307 nauczycieli polaków przenosi rząd pruski z prowincyj wschodnich w głąb Niemiec „dla dobra służby.“

Oszczędność. Prezydent rzeczypospolitej francuskiej p. Grevy pobiera rocznie na koszta podróży 300,000 fr., tymczasem jeździ tylko w lecie z Paryża do Mont-Sous-Vaudrey, co go kosztuje tam i z powrotem 97 fr. 60 cent. W ten sposób oszczędza rocznie 299,905 fr. 40 cent.

Więźniowie wskutek nowego rozporządzenia mogą być wynajmowani do robót prywatnych, po za obrębem więzienia.

Wójtowie gmin. *Prawit. Wiestnik* ogłasza następujące przepisy wydane przez Radę Państwa: Na wójta gminy obranym być może ten tylko, kto przynajmniej od 2 lat posiada w obrębie gminy na prawie własności osadę, mającą 6 morgów rozległości, przyczem na gruncie tym winny się znajdować zabudowania gospodarskie i dom mieszkalny, zbudowane również przynajmniej przed 2 laty. Przepis ten ma na celu zapobieżenie wyborom na wójtów ludzi, którzy z gminą nic wspólnego nie mają. Rozporządzenie wymaga jeszcze, żeby naczelnik powiatu, skazując wójta na areszt dyscyplinarny, donosił o tem natychmiast gubernatorowi, z wyłuszczeniem dokładnem przyczyn, jakie wywołały karę.

Nowy tunel. Między Danią i Szwecyą pod cieśniną Sundzką ma być przeprowadzony tunel, długości 12 kilometrów.

Odwiedziny. *Warsz. Dniewnik* donosi, że w początkach września przybędą następca tronu austryackiego i wnuk cesarza niemieckiego do Lubochenka na polowanie dworskie.

Bibliografia. Prof. dr G. Jaeger *Wełniarstwo* (odzież prawidłowa jako ochrona zdrowia), przełożył Juliusz Steinhaus. Warszawa.

— Feliks Jezioranski. *W obronie praktyki sądowej* (dalszy ciąg rozprawy o znaczeniu kontraktów pozahypotecznych). Warszawa.

Zmarli. Wilhelm Scherer, znany uczony, profesor literatury w uniwersytecie berlińskim.

— Samuel Tilden, przywódca partyi demokratycznej w Stanach Zjednoczonych.

— Viehoff, znany historyk literatury niemieckiej.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

S. S. Pamięć, jak wszelka władza umysłu, może być stosowną uprawą wzmacniana do chwili, w której wszystkie siły ludzkie kończą swój rozwój. Że i tu natura jednym daje moc większą, a drugim mniejszą — nie ulega wątpliwości.

Rawiczowi. Powszedniość powszednio wyrażona.

P. O. w Petersburgu. Żądany dodatek posyłamy, należy nam się kop. 50.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 1 Августа 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.